



N^o 32.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 5 sierpnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Aleksander hr. Fredro na łożu śmierci (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Kronika zagraniczna (dokończenie). — Przegląd polityczny. — Sokolica w Pieninach (drzeworyt). — Jaśnie pan chce krzywdy biednego Żydka... (drzeworyt). — Przegląd piśmienniczy. — Przesady, komedia w pięciu aktach (dalszy ciąg). — Zamek Sieniawskich w Brzeżanach w Galicyi (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Korespondencya ze Lwowa. — Kronika paryzka. — Na rozdrożu, powieść (dalszy ciąg). — Milton i Cromwell (dalszy ciąg). — Opozycya w Rzymie za cesarów (dalszy ciąg). — Instynkt i inteligencya zwierząt (dalszy ciąg). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

Warszawa emancypuje się na wielkie miasto. Mniejsza o to że stroi się w okazałe gmachy, że ma kilka teatrów, teatrzyków, kilkadziesiąt omnibusów i kilkakroć sto tysięcy mieszkańców... wszystko to jeszcze nie cechuje wielkiego miasta.

Ale obok tego posiada ona smutną kronikę skandalów i tragicznych wypadków, i jeżeli nie co do ilości, to przynajmniej co do jakości ani Paryżowi, ani Wiedniowi zazdrościć nie potrzebuje.

Oto szalony kochanek zabija kilkonastoletnią dziewczynę wystrzałem z rewolweru, a później sam siebie ciężko rani. Czułe serca szukają w tej sprawie dramatu, rozwiniętego według wszelkich

warunków sztuki—ale dramat w życiu i dramacie na scenie, to dwie rzeczy różne. W życiu niezawsze idzie przodem piękno; niezawsze góruje nad niem tragiczna groza, niezawsze bohaterowie spoglądają na powszednie wydarzenia z wysokości klasycznych koturnów; częściej chwilowy szal, moralna brzydota, płaskość i pospolitość wstręt i oburzenie budzą.



Aleksander hrabia Fredro na łożu śmierci. Podług fotografii Trzemeskiego we Lwowie.

Życie nad stan szerzą demoralizacją; zbytek budzi śmiertelną chorobę cheiwości, która trawi i gangrenuje najszlachetniejsze żywioły. Mnożą się nizekzemni ojcowie, niegodne matki; młodzież bez młodości, starość bez czci, dziecięctwo bez uśmiechu, niewinność, który jest najcudniejszym kwiatem na niwie ludzkiego życia...

Smutne to bardzo!...

I smutniejszym byłoby stokroć, gdyby na szarém tle skandalicznych wydarzeń nie snuła się złota nić cnoty, szczęścia i poświęcenia dla rodziny przy domowym ognisku...

Z pośrodku tych ognisk wyjść powinno ożywcze światło dla cieniów zepsucia i upadku. Dobry przykład, to potęgą przed którą korzy się słabość ludzka i w siłę się zamienia. Precz więc ze zbytkiem, z fałszywymi blaski, z pragnieniami uludnej wyższości, z tém wszystkim, co przystraja nas w pawie pióra niepotrzebnej świetności i dumy! Niechaj maluczy nie potrzebują upadać pod ciężarem walki o równość... w głupstwie. O poci niewieścia, pamiętaj że od ciebie zależy dobry przykład, od ciebie ocalenie smutnych tych dusz, co giną w przepaściach nędzy i brudu dlatego tylko, iż w drodze życia spotkały pokusy zbyt silne, a środki zwyciężania ich zbyt słabe.

Przez kilka dni w upłynionym tygodniu mnóstwo osób zwiędzało pracownię rzeźbiarską p. Bolesława Syrewicza w tutejszym zamku królewskim, w której artysta ten wystawił świeżo wykonane dzieło swego dłuta. Jest to pomnik z marmuru karraryjskiego, który stanąć ma w kościele parafialnym w Rościszewie, niedaleko Płocka, wzniesiony przez stroskanych rodziców, ku pamięci czteroletniej ich córeczki, Heleny Hemplówny.

Na podstawie z odpowiednim napisem, stoi postać skrzydlatego cherubina, portretowana podług fotografii zmarłej Helenki. Modelowanie główki pełne wdzięku i prostoty; rączki dziecka miękkie i powabnie zaokrąglone; draperya wreszcie bez zarzutu ułożona—czynią z tej figury, naturalnej wielkości, dzieło sztuki, w niekonwencyonalnym tego słowa znaczeniu. Ponad nią wznosi się krzyż, godło wiary i nadziei połączenia się ze zgasłymi w przyszłym życiu. Wysokość całego pomnika, od spodu podstawy, aż do szczytu krzyża, wynosi stóp dwanaście.

Pan Syrewicz od pewnego czasu działalność swą, jako rzeźbiarz, zwrócił przeważnie ku nadaniu pomnikom i nagrobkom wyższej estetycznej wartości, i przyznać należy, że z zadania swego wywiązuje się ze smakiem myślącego artysty. Ceny przytęm prac jego w tym rodzaju stosunkowo bardzo są umiarkowane. A jakąż to ogromną różnicą pomiędzy takim dziełem sztuki, a zwykłą, niezgrabną i nieestetyczną robotą naszych kamieniarzy, która niewiele nawet mniej kosztuje, w trwałości zaś pracy rzeźbiarza nigdy nie dorówna.. Doprawdy, dziwić się należy, że ogół nasz, prostym jedynie powodując się uprzedzeniem, lgnie jeszcze dotąd ślepo do niesmacznych, szablonowato ciosanych i kruchych pomników kamieniarskich, skoro za te same prawie pieniądze mieć może nierównie piękniejsze i trwalsze prace takich artystów krajowych, jak Syrewicz, Prószynski, Kucharzewski, Cengler, Manzel, Rutkowski i inni.

Przerys pomnika o którym mowa, wkrótce w Tygodniku zamieścimy.

Korzystaliśmy zawsze z każdej sposobności, aby gorąco a serdecznie popierać sprawę zakładania szkół dla głuchoniemych po miastach prowincjonalnych. Obecnie dowiadujemy się z radością, że słowa nasze nie przebrzmiały bez skutku; *Kuryer lubelski* bowiem donosi, że w Lublinie ma być założony Instytut dla głuchoniemych i że w tym celu, z polecenia głównego Naczelnika kraju, władze miejscowe zbierają dane statystyczne co do dzieci, dotkniętych głuchoniemotą, do lat trzynastu.

Wiadomość to bardzo zwięzła i skąpa w szcze-

góły, ale tém niemniej pocieszająca. Oby okazała się uzasadnioną i szybko w czyn przeszła. Mamy bowiem nadzieję, że jeżeli się sprawdzi, to jeden fakt taki spełniony wytworzy cały szereg faktów podobnych i pociągnie za sobą najpomyślniejsze skutki.

Na jakich zasadach projektowany w Lublinie Instytut ma powstać, tego jeszcze nie wiemy, przypuszczamy jednak że utworzenie jego oprze się, przynajmniej w jakiejś części, na ofiarności publicznej. I znów przyjdzie dorzucić grosz wdowi do dobra ogólnego, które w społeczeństwach rozumnych i potrzeby swoje pojmujących powinno być najwyższym celem usiłowań. Takie wdowie grosze znajdują się niezawodnie tu, gdzie iść będzie nietylko o ulżenie kalęctwu i nędzy, ale i o przyporządkowanie użytecznych członków społeczeństwu, o ujęcie mu ciężaru.

Zeszłej niedzieli na Czystem odbyła się próba z aparatem Szweda Oestberga, mającym na celu umożliwienie ratunku podczas pożaru.

Aparat ten, którego opis szczegółowy podaliśmy już dawniej, jest to odzież ze skóry, płótna i metalu, z maską, z hełmem na głowę, z kaftanem, spodniami i butami umyślnie na ten cel sporządzonemi i z dowcipnym urządzeniem, za pomocą którego zimna woda, oblewając besustannie odzież ratunkową, broni ją od ognia.

Człowiek, który próby dokonywał, wszedł sobie spokojnie między cztery stopy płonącego drzewa i pozostawał w ogniu przez kilkadziesiąt minut. Z tej ogniowej kąpieli wyszedł wprawdzie jak mysz spocony, ale zdrow i cały.

Znawcy powiadają, że p. Oestberg wynalazł aparat wysmienity... do produkowania się przed publicznością, że jednak przyrząd ten wielkiego, a może nawet i małego pożytku przyniesieby nie mógł tam gdzie chodzi o działanie na seryo, to jest w prawdziwym pożarze. Zarzuty te opierają na twierdzeniu, że aparat jest najpierw zaciężki i mało pozostawia swobody ruchów odzianemu w niego człowiekowi, a powtóre że zależnym jest całkowicie od tego, co się dzieje nazewnątrz—trzeba bowiem wiedzieć że czerpie powietrze i wodę z przestrzeni po za ogniowej.

Nie wiemy o ile to twierdzenia w praktyce pokazałyby się słusznemi, ale przyznać musimy, że aparat p. Oestberga przypominał nam niedźwiedzia, chcącego tańcować galopadę. Jest fatalnie niezgrabny, twardy, ciężki, a trudno przecież zaprzeczyć, że w tłumieniu pożaru wielką także rolę odgrywa zwinność.

Panowie Terenkoczy i Doroszyński w Tiwoli na wcale dobry wpadli pomysł. Widząc że scena ogródkowa nie może się na żaden sposób obyć bez operetek, postanowili dawać je, ale wyłącznie autorów swojskich. Tym sposobem rozminą się oni szczęśliwie z Offenbachem i jego plejadą, a będą mogli produkować sztuki z gruntu poczciwe i sympatyczne, bo własne. Nie mają się też powodu obawiać, aby im zbrakło przedmiotu; repertuar operetkowy mamy dosyć okazały, a po większej części istotnie piękny. Będzie on wprawdzie wymagał staranniejszego wypracowywania niż Offenbach i Suppé, którzy bardzo dobrotliwie w wielu razach poprzestają na najpospolitszym blaznowaniu, ale też zyskają na tém i sztuka, i publiczność.

Tiwoli rozpoczęło swój repertuar operetkowy w zeszłym tygodniu od dwuaktowego obrazka wiejskiego „Nowy dziedzic, czyli wesele w Ojcowie“ z muzyką Kurpińskiego. Publiczność przyjęła sztukę serdecznie, bawiła się wybornie i odeszła zadowolona, aby przyjść znowu chętnie po raz trzeci i dziesiąty nawet.

Warszawa, jak czytaliśmy o tém niedawno, w jednym z pism codziennych, posiada ogromny kapitał... w śmieciach. Któs, coby zechciał śmiecie te zebrać, rozgatkować i ku celom przemys-

łowym zużytkować, wytworzyłby nowe źródło dochodu dla miasta i dla siebie.

Śmiecie warszawskie, to najczystsze złoto, tylko nikt dotąd po nie nie sięgnął do owej kopalni, którą są nasze śmietniki. I źle się z tém dzieje! Najpierw dlatego, że ów ktoś co tego nie zrobił pozbawił się skarbów, a potem, że z temi śmieciami nam, Warszawiakom, wcale jest niedobrze. Dają nam one zaraziliwe powietrze, zanieczyszczone podwórka, najrozmaitsze gorączki i wogóle to, co stanowi jedną z najcięższych plag dla wielkich miast: nieporządek.

Przychodzi jednakże chwila, w której plaga ta ustąpić może, jeżeli miasto zapraśnie korzystać z dobrej sposobności... Oto pp. Maciejowski i Kowalski otrzymali pozwolenie od władzy na wyłączną wywózkę śmieci i nieczystości, a uskutecznić to mają w wozech umyślnie ku temu zbudowanych, a więc najszczelniej zamkniętych.

Jeżeli to będzie wywózka, przedsięwzięta na wielką skalę, rzecz obiecuje się świetnie co do skutków i kochana Warszawka stanie się niezadługo miastem sławnym z czystości; jeżeli jednak panowie przedsiębiorcy chcą zaczynać od małego, to nie wróżymy im powodzenia, ani miastu korzyści.

Zeszłej środy na scenie teatru letniego debiutował p. Z. Fijałkowski w roli Czesława z komedii „Szlachectwo duszy“. Debiut wypadł i tym razem szczęśliwie, chociaż mamy do zarzucenia debiutantowi niezbyt szczęśliwy wybór roli do pierwszego występu. Czesław jest postacią dosyć bladą, a bezbarwności jego nie ratują bynajmniej podniosłe ustępy, jakie mu sytuacja w usta kładzie. Wytwarza się z tego raczej pewna konwencyonalność, daleka od natury, a prawdziwy „kochanek z komedii“ dla debiutanta jest przez to już samo bardzo twardym do zgryzienia orzechem.

Pan Fijałkowski przejął się swą rolą, grał ją nie bez zapału, w ustępy deklamacyjne technął uczucie i byłoby wszystko bardzo pięknie, gdyby nie jedna okoliczność: całość roli nie była jednolita. Ale z tą jednolitością trudna sprawa, szczególnie w takiej roli. Trzeba tu brak kolorytu psychicznego pokrywać zewnętrznym rysunkiem, trzeba tworzyć tę zewnętrzność, pokrywającą braki rysów charakterystycznych, trzeba jednym słowem ogromnego doświadczenia aktorskiego, aby z tego zadania wyjść zwycięzko. Jeżeli p. Fijałkowski choć w połowie cel ten osiągnął, to zrobił już wiele i dobrze to o nim wróży.

Zgromadzenie drukarzy warszawskich, jak o tém przekonywa sprawozdanie za czas od 1 stycznia do 31 grudnia r. 1875, posiadało w tym okresie czasu funduszu rs. 4,450 kop. 24 $\frac{1}{2}$, dochodu zaś wraz z funduszem rezerwowym rs. 2,439 kop. 9 $\frac{1}{2}$. Dochód ten powstał z procentów od kapitału w banku polskim lokowanego, z opłat wstępnych od pryncypałów i towarzyszy, a wreszcie ze składek miesięcznych, które stowarzyszeni obowiązani są wnosić.

W wydatkach najważniejszą pozycją stanowią koszta kuracyjne towarzyszy, rs. 572 kop. 50, oraz koszta pogrzebowe, rs. 285 kop. 71. Wogóle wydatki wynosiły w roku zeszłym rs. 1,324 kop. 78, pozostało zatem remanentu w kasie Zgromadzenia na rok bieżący rs. 1,114 kop. 31 $\frac{1}{2}$.

Zgromadzenie drukarzy wogóle krząta się jak może i zwiększa swoje środki, obracając je na istotny pożytek stowarzyszonych. Niebrak też w niem i inicjatywy, i pragnień... może zaśmiałych. Oto powstała pośród stowarzyszonych myśl utworzenia kasy emerytalnej; wybrani zaczęli się nawet krzątać około urzeczywistnienia tej myśli, w zasadzie pięknej i użytecznej, ale w rzeczywistości najzupełniej niepraktycznej. Zamiar też upadł, co nietrudno było przewidzieć.

Istotne korzyści, jakie Zgromadzenie zapewnia swym członkom, są następujące: 1-o) wsparcia pieniężne, 2-o) pomoc lekarska, 3-o) pogrzeb kosztem własnym w razie potrzeby, i 4-o) pomoc

pieniężna dla wdów i sierot po stowarzyszonych. Są to korzyści niemałe, ale Zgromadzenie chce je pomnożyć z czasem, gdy środki jego się pomnożą. Chciałoby też uczynić coś jeszcze i dla moralnej strony swych członków. Marzy o zebraniu biblioteki, o odczytach, o wykładach wieczornych...

Tymczasem środki z każdym dniem istotnie rosną i marzenia ziścić się mogą, przy dobrej woli i wytrwałości.

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie)

Z poważniejszych dzieł znaleźliśmy tylko historyczny obraz z XIV wieku „Cesarz Karol IV i udział jego w życiu duchowym swojego czasu,” przez Henryka Friedjunga (Kaiser Karl VI und sein Antheil am geistigen Leben seiner Zeit. Wien 1876. Wilhelm Braumüller. 8-o, str. 332). Nie możemy się zbyt rozwódzić nad tym obrazem, którego celem było rzucić pewne światło na dzieje umysłowego rozwoju Europy, a szczególnie Niemiec w XIV wieku; wskazujemy go tylko jako rzecz w swym rodzaju nową i zajmującą, a także, że maluje stronę epoki, najmniej zwykle badaną i uwzględnianą w dziejach starym trybem pojętych. Autor kręśli żywot znakomitego monarchy, prawie wyłącznie wskazując jego stanowisko i działalność duchową, przyczem wydatniej występują kwestye filozofii, teologii, nauki i sztuki XIV wieku. Według źródeł społecznych i autobiografii cesarza Karola IV opowiedziany jest pobyt we Francji i Włoszech, który tak silnie wpłynął na umysł jego; dalej młodość, wyniesienie, idee prawodawcze i religijne. Odrysowane są postacie które go otaczały, reformy jakie przedsiębrał; wyczerpani uczeni i artyści, których na dworze swym gromadził. Stosunki żywiołu niemieckiego do czeskiego, jak zawsze, stronniczo tu pojęte, zajmują dla znaczenia ostatniego, a pomimo to czuć, że wiele faktów umyślnie milczeniem pokryto, lub ważność ich zmniejszono. Ciekawe jest opowiadanie o stosunkach cesarza z Petrarką i Cola da Rienzi. Petrarka, którego dziś tak niesłusznie znają tylko ludzie z jego sonetów i wspomnień o Laurze, przedstawia się tu w prawdziwszym świetle reformatora nauki humanizmu, wskrzesiciela miłości dla literatury starożytności. Jest on tu wielką wiek jego potęgą, przemawiającą w listach do Karola IV z powagą męża pewnego nieśmiertelności i stojącego ponad sprawami powszednimi. Z tych listów do cesarza najlepiej się poznać daje wysokie stanowisko, które Petrarcie nadawała nauka jego i sława. W r. 1356 poeta, wezwany przez Karola, naprózno w Bazylei miesiąc cały wyczekawszy na niego, udał się za nim do Paryża. Trzy miesiące podróży ta zajęła; poeta miał ją opisać, ale zdaje się że myśli tej nie doprowadził do skutku. Przyjętym tu był ze czcią wielką i w jednym z listów opowiada, że tam gdzie barbarzyństwo spotkać się spodziewał, znalazł wysokie wykształcenie i obyczaje najwykwintniejsze. Kancelarya cesarska, na listy Petrarki odpowiadając, styl i sposób pisania odmienić musiała, tak dalece szanowano humanistę. Zawiazane tu z duchowieństwem wyższymi stosunki długo się potem przeciągnęły. Rozdział o sztuce, w którym jest też wspomnienie o budowniczym Henryku Arlerze de Polonia, nie zawiera nic zupełnie nowego, po badaniach Czechów i historii sztuki Schnaasego, ale daje pojęcie pewne o rozwijaniu się kunsztów pod opieką cesarza, który je miłował. Z tego czasu pomników nietylko budownictwa, ale malarstwa i rzeźby pozostało w Czechach wiele, świadczących najlepiej o stylu epoki.

Karol IV jest w tym czasie może jedynym monarchą, zajmującym się czynnie naukami i przekładającym sławę uczonego nad sławę rycerską. Książę pana Friedjunga, obfitującej w troskliwe nadromadzone szczegóły, brak może szersze-

go, oryginalniejszego poglądu, umiejętności odzwiania i malowania, ale materyał zebrany już sam nadaje jej wartość. Jest to rozdział historii ruchu umysłowego Europy mało znany, a wielce na poznanie bliższe zasługujący. Czuć już tu nadchodzącą epokę odrodzenia.

W chwili gdy to piszemy, dochodzi nas smutna wiadomość o zgonie Aleksandra hr. Fredry. Czcigodny starzec usnął, przeżywszy lat osiemdziesiąt i dwa, jak lampa wypalona... spokojnie i bez walki z wyczerpaniem życia. Za żywota już imię jego pomieszczono tam, gdzie ono w literaturze pozostać nazawsze. Zrażony krytyką, Fredro zawczasem tworzyć przestał, a przynajmniej ogłaszać co pisał; lecz krytyka owa bezwzględna dawno zapomniana została, a poczucie ogółu postawiło Fredrę na czele naszych pisarzy dramatycznych. Mamy nadzieję że rodzina teraz pozostała po nim rękopisma ogłosi. Świeżo odczyty hr. Tarnowskiego przypomniły Fredrę ogółowi, choć w teatrach nie potrzebował on przypomnienia, bo któryż z nich obszedł się bez niego? Jedno z pism niemieckich, mówiąc o zmarłym, wymienia jako jedną z najpięknszych prac jego tłumaczenie *Clavigo Goethego*. Było-li ono drukowane?... przynajmniej się że tego nie wiemy. Wytworzone odczyty hr. Tarnowskiego, w których wiele dla efektu poświęcono, nie staną zapewne na zawadzie głębszemu rozbiorowi krytycznemu dzieł Fredry, który teraz dopiero, gdy całość ich mieć będziemy, możliwym się stanie. Wątpimy ażeby pośmiertne dramata dorównały *Ślubom, Mężowi i Żonie, Przyjaciołom* i t. d., lecz z pewnością rzucą światło nowe i przyniosą dla teatrów drogocenny materyał. Fredro niezawodnie ojcem polskiego teatru nazwać należy. Przed nim próbowano wiele, uczyniono coś, ale on pierwszy wlał życie, wskazał drogę, poruszył scenę, obudził dla niej miłość i zajęcie. Pod pewnym względem formę i styl nawet stworzył. Z tego co nam jest znanym, jako artystyczny utwór, obok *Ślubów panińskich*, najwyższemu postawić trzeba *Męża i Żonę*. Drażliwy przedmiot nie dopuszczał dotąd krytyce ani dotknąć, ani ocenić tego arcydzieła. Jest to przecież coś więcej niż komedia zwykła, jest to do tragiczności niemal posunięty dramat, któryby historycznym nazwać można, z odwagą geniuszu pojęty, z niezmierną prawdą i werwą napisany, jest to galicyjskiego ongi żywota ilustracja żywa, wierna, straszliwa—lecz jakże prawdziwa... Znaczenie tej komedii wyższemu jest niż wielu, niż wszystkich może... to upadek rodziny, to rozpręgające się społeczeństwo wizerunek, z boleściwą ironią przedstawiony. Tylko Fredro mógł się na to ważyć i rzucić w twarz społeczności tą komedią tragiczną—jak groźbą... Lecz nie miejsce tu o tym rozwódzić się dłużej.

Polecamy, zamykając korespondencją, nowość, którą tu spotkaliśmy, wielce zajmującą i na czasie. Jest to hr. Maurycego Dzieduszyckiego rzecz o samobójstwie. (Lwów, wyd. Belzy. Warszawa, u Gebethnera i Wolfa).

Przegląd polityki zagranicznej.

4 sierpnia.

W miarę przeciągania się wojny serbsko-tureckiej, w której dotąd jeszcze nie nastąpiło przesilenie, wiadomości z teatru wojny tracą z wolna swój pierwotny interes, a natomiast zyskują go doniesienia i przypuszczenia różnych dyplomatycznych projektów. O ile po zjeździe reichstadzkim u wszystkich rządów zdawała się przemagać myśl o konieczności neutralnego zachowania się względem krwawych wypadków na wschodzie, o tyle znowu dziś rozpowszechnia się przekonanie, iż interwencja jest konieczną, i zewsząd słyhać o usiłowaniu obmyślenia najlepszego sposobu tej interwencji. Powtarza się teraz to samo, co było w pierwszych kilku miesiącach po wybuchu powstania w Hercegowinie. Wszystkie państwa z początku zachowały się względem tego powstania neutralnie; wkrótce jednak wyszła na jaw niestosowność i niemożliwość takiej polityki, a skutkiem tego nastąpiły owe próby pacyfika-

cyjne, w których nota hrabiego Andrassy i memoriał berliński były dwoma punktami kulminacyjnymi. Dzisiejsza wojna jest kwestyą o wiele drażliwszą od powstania hercegowińskiego; dlatego też łatwiej pojąć i ociąganie się mocarstw zagranicznych, i większą trudność ogólnego porozumienia się Europy, które i w pierwszym stadium kwestyi wschodniej wynalezione być mogą. Przytém trudno sobie nawet wyobrazić, żeby interwencja zagraniczna, w razie formalnej wojny regularnej, jaką jest dzisiejsza, mogła być interwencją czysto pokojową.

W ubiegłym tygodniu los wojny Serbom nie sprzyjał. Nie stracili wprawdzie żadnej ważnej pozycyi, utrzymali się nad Timokiem, Dryną i Ibarem, ale natomiast w okolicach Morawy, między Aleksinaczem a Zajczarem, osłabli granice do tego stopnia, że wojska tureckie weszły w głąb Serbii, dążąc ku Kniażewaczowi. Było to konieczne następstwo ruchu armii Czerniajewa ku północy i prawdopodobnie ta armia pośpieszy wstrzymać najazd turecki. Pod względem liczebnym siły obudwu armij równoważą się ciągle i tylko nieudolności oficerów armii serbskiej przypisać trzeba, że ta armia na wszystkich prawie punktach zmuszoną została do przejścia ze stanowiska zaczepnego w odporne. Z drugiej jednak strony spotkał Serbów wielki zawód, co może po części usprawiedliwić ich niepowodzenia militarne. Liczyli oni na tłumne powstanie Bułgarów i Bośniaków, a tymczasem i jedni i drudzy wystawili bardzo szczupłą liczbę ludzi zbrojnych, którzy przytém nie działają prawie wcale zaczepnie, lecz chroniąc się po górach, myślą raczej o własnym bezpieczeństwie przed hordami Czerkiesów i baszy-buzuków. Gdyby w Bułgarii istniało porządnie uorganizowane powstanie, to Turcy, będąc odcięci od podstawy swoich działań operacyjnych, nie mogliby z taką swobodą, jak dzisiaj, używać na granicy serbskiej sił skoncentrowanych pod Widyniem, Niszem i Nowym Bazarem. Lepiej już daleko trzymają się powstańcy w Hercegowinie i dlatego też wojska czarnogórskie odnoszą większe na polu bitwy korzyści. Książę Mikołaj, wstrzymany w swoim pochodzie na Mostar w pobliżu rzeczki Byszyny, musiał początkowo uciekać; lecz zebrawszy swoje siły na planinie koryckiej, stoczył z Muchtarem-baszą drugą bitwę pod Bilekiem, w której rozbił na głowę armią tego wodza i dziś zagraża jej resztkom, zebranych w Trebinii i Bileku. Chociaż jednak te zwycięstwa są dla Czarnogórze pomyslnie, to dla Serbii, już przez samo oddalenie działań wojennych od granicy ibarskiej, nie mają prawie żadnego znaczenia.

Wiść o ciężkiej chorobie sułtana Murada, przeplatana kiedy niekiedy doniesieniem o nastąpieniu już jego śmierci, utrzymuje się ciągle, a w sferach dyplomatycznych zaprzatają się już myśli bliższej ewentualności zmiany tronu w Konstantynopolu. Następcą Murada byłby jego brat młodszy, Abdul-Hamid. Na czele rządu pozostałby, tak samo jak dotąd, Mithad-basza, którego doktrynerski projekt konstytucyjny jest już przedmiotem poważnych rozpraw w stolicy Porty otomańskiej. Panuje tam ciągle ufność w pomoc Anglii. Rozprawy nad kwestyą wschodnią w parlamencie wielko-brytańskim usprawiedliwiają poniekąd tę ufność, parlament bowiem okazuje zupełne zadowolenie z polityki rządowej i unika wszelkich, nawet czysto platonicznych, objawów sympatii dla chrześcian tureckich. Porta odrzuciła reklamacyą rządu rumuńskiego, twierdząc, że tylko konferencye ogólnoeuropejskie mogłyby rozstrzygnąć słusność żądań, które w kilku punktach naruszają artykuły traktatu paryskiego. Teraz i Grecya, jak słyhać, a zamiar wystąpić z pewnymi przedstawieniami, ażeby, w razie przyjęcia do skutku owych konferencyj, odnieść, bez rozlewu krwi, pewne korzyści. Według tego cośmy powiedzieli na początku o wzmagającej się potrzebie interwencji i na zasadzie licznych wzmianek prasy półurzędowej różnych krajów, można wnosić że projekt odbycia konferencyj został już wzięty pod rozwagę. (Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times.)



Sokolica w Pieninach. Podług fotografii Szuberta w Krakowie.

Rysunki E. M. Andriolli'ego.



Jaśnie pan chce krzywdy biednego Żydka.....

Przegląd piśmienniczy.

Z dziennika psychologa, wrażenia, uwagi i spostrzeżenia w ciągu dziesięciu lat, spisane przez Juliana Ochorowicza. Warszawa 1876, str. 1V i 244 w małej 8-ce.

„Psychologia nie jest częścią filozofii, lecz nauką spostrzegawczą, podobnie jak fizjologia“—słowa te czytamy na początku przedmowy autora. Na drugie zdanie, choć z zastrzeżeniem, które poniżej wypowiemy, trudno dziś nie zgodzić się; zato pierwsze brzmi cokolwiek dziwnie w czasach, gdy już dostatecznie określono różnicę pomiędzy badaniem filozoficznym i dowolnymi mrzonkami a priori, gdy stanowczo i jasno wytknięto zadanie filozofii. Autor należy, a przynajmniej należał, do szkoły nadużywającej wyrazów, a raczej z rozmysłem używającej terminów filozoficznych, w odmiennym od ich prawdziwego lub jednostronnym znaczeniu. Wiadomo zaś, że w niedostatecznym porozumieniu się co do znaczenia wyrazów leży głównie źródło sporów i częściej szermierki: przedstawiciele rozmaitych, rzekomo krańcowych, wrogich sobie i wprost przeciwnych szkół i obozów, pewno z nimałem podziwieniem własnym załatwiłyby niejedną sporną, gdyby przedewszystkiem chcieli porozumieć się co do znaczenia wyrazów, którymi waleczą. Podobne nieporozumienie tkwi w powyższym zdaniu p. Ochorowicza. Jeżeli bowiem zadaniem filozofii ma być dochodzenie praw i objawów elementarnych, na których opierają się wszystkie nauki, jeżeli takimi zasadniczymi objawami i prawami są zjawiska duchowe i prawa myślenia, jeżeli zatem filozofia jest przeważnie nauką o duchu ludzkim, w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu—a na to wszystko, jak przypuszczamy, zgodzi się bezwątpienia sam autor—toć przecie być nie może, ażeby nie należała do filozofii psychologia, to jest nauka o duszy ludzkiej, w zakresie jej objawów w życiu dostrzeganych, połączonych z objawami i funkcjami ciała i zostających z temi ostatnimi w ścisłym stosunku wzajemnej odpowiedzialności i zależności. Objawy myśli, uczucia i woli—oto przedmiot psychologii, która nie może wszakże być dziś dowolnie zbudowaną przy pomocy jedynie rozumowań, ale potrzebuje być opartą na *doświadczeniach*. Gdyby więc nam autor był powiedział, że psychologia nie może być ani *mistyczna*, ani *materyalistyczna*—te są bowiem dwa krańcowe kierunki rozumowań a priori—zgodzilibyśmy się na to całkowicie; zawsze jednak będzie ona nauką filozoficzną, gdyż właśnie prawdziwa filozofia zarówno unika obydwu owych krańcowych kierunków. Skoro istnieje dusza (musi bowiem istnieć, jeżeli istnieje nauka o duszy) i skoro niewszystkie objawy tej duszy są dotykalne, podległe zmianom fizycznym i chemicznym, dające się zważyć, rozebrać w chemicznej retorcji, przenieść na papier lub płótno, jednym słowem, skoro przedmiot psychologii nie jest zawsze dotykalnym i zmysłom przystępnym, musi więc zachodzić dość znaczna różnica pomiędzy *psychologią doświadczalną* i innymi naukami doświadczalnymi, jak na przykład fizjologia, której właściwym zadaniem jest badać kości, mięśnie, soki i tkanki—dotykalne i najzupełniej zmysłowym doświadczeniom przystępne.

Oprócz doświadczeń zmysłowemi zwanych (pomijamy nateraz kwestyą czy zupełnie słusznie), istnieją przecież jeszcze doświadczenia wewnętrzne; zatem—i tu przechodzimy do drugiego z wypisanych powyżej zdań autora—kto mówi o doświadczeniu, rozumiejąc jedynie doświadczenie zmysłowe, ten popełnia błąd, albo nieświadomie, albo umyślnie hołdując jednostronnemu kierunkowi i zaprzeczając najoczywistszym faktom. Zkąd na przykład wiemy o tem, że myślimy, skoro (używamy słów samego p. O., znajdujących się w książce o której mówić mamy, na str. 12) „od myśli niema już nerwów do naszej świadomości?“ Psychologia, jak i wogóle filozofia, jest istotnie nauką spostrzegawczą, jak mówi autor, ale (i to jest właśnie nasze zastrzeżenie), bywają dwojako rodzaju spostrzeżenia i obserwacje: zewnętrzne, zwane zmysłowemi i wewnętrznymi, w których

obserwowany przedmiot jest zarazem obserwującym przedmiotem. Zasada ta już oddawna została przyjętą przez ogół bezstronnych badaczy i stała się niemal elementarną.

Dowodząc potrzeby obserwacji psychologicznych, autor uważa za bardzo pożyteczne w tym celu prowadzenie dzienników, w których byłoby zanotowane rozmaite uwagi, pomysły i spostrzeżenia z życia czerpane i mające interes psychologiczny. Na to zgoda, ale—znowu zastrzeżenie—niekażdy potrafi prowadzić takie dzienniki, a najmniej chyba młodzież; dziennik samego autora, który mamy przed sobą, dalekim jest od tego, aby mógł być wzorem tego rodzaju utworów. Ażeby się o tem przekonać, rzućmy okiem na treść tej książeczki.

Cała książeczka zawiera 244 stronic. Jak na spostrzeżenia psychologa w okresie lat dziesięciu—to raczej zamało niż dosyć. Wszelako i tak jeszcze przeszło 1/3 dziełka traktuje o rzeczach najmniejszego nawet związku z psychologią i psychologicznymi badaniami niemających. Obliczyliśmy skrupulatnie te ustępy, razem składające zawartość 80 stronic, a mianowicie: na 11 stronicach (53-63) autor poważnie roztrząsa i krytykuje jakąś nadesłaną sobie pracę filozoficzną, pełną najdziwniejszych panteistycznych mrzonek, ani nowością pomysłu, ani głębokością niezasklępijących na uwagę czytelnika; na kilkunastu innych stronicach (72 i nast.) autor opowiada własne doświadczenia ze stolikami pukającymi, które nie mają żadnego charakteru badań psychologicznych, dlatego że autor nie przychylił się w niczem do wyświetlenia tej kwestyi i nie podaje żadnych naukowych uwag; następnie 12 stronic (155-166) zajmuje umieszczony całkowicie pamiętnik jakiejś obłąkaniej dziewczyny, składający się z samych erotycznych i sentymentalnych wykrzykników. Ma on stwierdzać tę starą jak świat prawdę, że spaczony, romansowy sentymentalizm i chorobliwa egzaltacja religijna mogą doprowadzić do utraty rozumu. Dalej na 18 stronicach mieści się polemika literacka pana O. z panem Struve, który w Bibliotece warszawskiej skrytykował ostro filozoficzne prace autora. Nakoniec 16 stronic obejmują dorywcze uwagi i notatki autora z jego podróży za granicę (str. 139-154), przedstawiające niewiele nowego i zajmującego.

Reszta (2/3) książeczki składa się przeważnie z notatek, uwag i pomysłów. Pamiętnik to raczej autobiograficzny, niż psychologiczny. Szczegóły z codziennego życia autora może będą kiedyś pożądane, ale dzisiaj spisywać je zawczasie. Oto na przykład co mogą obchodzić czytelników zapisane pod datą wiadomości o humorze autora, o smutku trapiącym jego duszę, o obcinaniu włosów, o jego miłości ku 16-letniej panience, gdy miał lat 7. Opowiada nam także autor, jak zabił się do napisania rozprawy konkursowej, nie mając wyobrażenia o przedmiocie (str. 15), podaje polityczne prognozyki z 1868 roku (str. 18), notuje, kiedy jaki list otrzymał (n. p. str. 20), jakie prace rozpoczął lub wykonać zamierza na temata niezbyt odznaczające się nowością.

Przy końcu książki autor wtajemnicza czytelnika we wszystkie szczegóły swojej twórczości literackiej, kiedy i jak pisze etc. (str. 222-227).

Znaczną ilość pierwotnych, młodzieńczych notatek autor opatrzył później przypiskami w tych słowach: „trzeba o tem pomyśleć później, trzeba to jeszcze wyjaśnić“ i t. d. (nie wyjaśnił zaś nigdzie). Innym uwagom sam później zaprzeczył; właściwiwi zaś byłoby, gdyby wszystkie te notatki obydwu kategorii całkiem był opuścił. Nie mówimy tu już o paradoksach, jak na przykład o zbawiennym wpływie przyjaźni starszej kobiety, ale młodej i koniecznie przystojnej, bez wzmianki o charakterze (str. 11).

Nie rozszerzając się już więcej o tem, co w książce zgoła do psychologii nie należy, wspomnimy teraz o szczupłej, tu i owdzie rozrzuconej wiązance materyałów istotnie psychologicznych. Przedewszystkiem zwrócimy uwagę na ustępy rzeczywiście ważne i niepoślednią wartość mające. W niektórych z nich autor sam staje w przeciwieństwie z kierunkiem pozytywno-sensualisty-

cznym, który przeważa w większej części jego zdań i poglądów. Tu na przykład zaliczymy trafne i prawdziwe spostrzeżenia autora o rozkoszy (str. 16), o różnicy pomiędzy słyszeniem i rozumieniem (str. 128), o stosunku pomiędzy stanem ciała i usposobieniem umysłu i o panowaniu umysłu nad chorobami (str. 83 i 170); dalej trafne uwagi o mieszanii objawów poprzedzających lub współczesnych z przyczynami—mieszanii oddawna znanem w jednostronnej zasadzie: „*post hoc, ergo propter hoc*“ (potem, a więc wskutek tego)—str. 86; wreszcie piękne słowa autora, wymierzone przeciwko apostołom ateizmu: „nie bądźcie złodziejami! Nie odbierajcie ludziom wiary, jeśli nie wzamian im dać nie możecie“ (str. 97). Niecodalszy mające związek z psychologią, niemniej jednak trafne i udatne, są ustępy o wpływie teatru na aktorów (str. 239 i nast.), o potrzebie akurtności (str. 207), o błędach w czytaniu i pisaniu, wreszcie mające wartość pedagogiczną ustępy o potrzebie samodzielności (str. 48 i nast.), o szkoldliwości dogadzania dzieciom (str. 176 i nast.), o wadliwym kołysaniu dzieci (str. 178), o korzyściach łączenia obu płci w szkołach (str. 217 i 218).

Wyliczyliśmy prawie wszystko, co w pracy p. Ochorowicza ma wartość naukową. Reszta wniosków i uwag autora o duszy, mózgu i t. p. nacechowana jest kierunkiem sensualistycznym, czyli pozytywnym. Nie będziemy już tu obszernie przytaczali wszystkich tych uwag, poprzestaniemy na kilku tylko przykładach. I tak na stronicy 37 czytamy: „unosić się nad rozumem *natury*, dlatego że tak doskonale zastosowała budowę istoty organicznej do otaczającego ją środka, jest to przypisywać rozum *korkowi*, który wpycha do butelki, z tej racyi, że się kurczy, ażeby wejść w szyjkę.“ Niema więc rozumnego urządzenia w świecie, jest tylko ustrój mechaniczny—znany pogląd materyalistów. W duchu również materyalistycznym autor za przyczynę wrodzonego uzdolnienia umysłowego podaje mózg doskonale rozwinięty, a wrodzoną tępość umysłu upatruje w tym razie, jeśli szwy czaszkowe zawczasie zarosły (str. 9). Na str. 114 autor zaznacza nieużyteczność powtarzania przepisów moralnych, które tylko znudzić może, porównując je z pożytkiem wynikającym z powtarzania tabliczki Pytagorewskiej. Trudno zgodzić się i na to, co autor mówi o przenośniach, wskazując w wyrażeniach przenośnych przewagę, jak powiada, wyrazów zmysłowych (str. 41, 45 i 114.) Przecie istota przenośni zależy właśnie na świadomym i rozmyślnym używaniu wyrazów zmysłowych i obrazów wziętych z natury: dowodzenie więc autora znaczy to tylko, że przenośnia czyli metafora jest istotnie przenośnią. Klasyfikacja pojęć na zmysłowe, zmysłowo-umysłowe i umysłowe (str. 104) traci scholastykę, zabarwioną nowocześnie sensualizmem, pojęcia bowiem są wszystkie umysłowe, dlatego że istnieją nie gdzieindziej, jeno w umyśle; tylko *treść* tych pojęć bywa rozmaita i *drogi* na których się zdobywają.

Pod względem języka i stylu błędów niewiele. Rażą nas jednak takie wyrażenia jak „*ślady* pierwszej bytności w teatrze“ (str. 7; w znaczeniu *pierwszych* wrażeń); „niesłychane *rzeczy* w życiu *przechodził*“ (str. 8); „maszyna *samoszcyjna*“ (str. 21); „siedząc z założonemi *na siebie* nogami“ (str. 31, na samego siedzącego, czy nogi jedna na drugą założone?); „wiadomość ta będzie *silniej* przyjmowaną“ (tamże); „obserwować *drugich* (innych) i *łapać* ich za słabe strony“ (str. 33) i t. d.

PRZESADY,

komedia w pięciu aktach,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

ZDZISŁAW (przysuwa się).

Mógłbym zawołać służących, ale ja lubię sprawy załatwiać cichutko. Oddajesz?

LAUFEN (*oparty o okno z pistoletem*).

Myslałeś pan że ja taki ptaszek, co się na plewy łapie? Czy wierzysz teraz w mój argument? Nāe, nie i nie!

ZDZISŁAW (*jakby do siebie*).

Wystrzał sprowadzi ludzi, co począć?

LAUFEN.

Rycerzu pięknych panien, wahasz się teraz? Wierzę bardzo, *das glaub ich schon*, bo jeszcze krok naprzód, a w leb ci strzelę jak psu.

ZDZISŁAW (*rzuca się*).

Strzelaj! (*W chwili gdy Laufen chce wypalić, Lucyan z za okna chwytą go za rękę, w której trzyma pistolet*).

Scena 7.

Ciż i LUCYAN (*w oknie*).

LUCYAN.

Poco dzieci budzić chcesz po nocy?

LAUFEN (*odbiegając od okna*).

Verflucht!

ZDZISŁAW.

Ha! niech ci Bóg płaci, panie Lucyanie, przyszedłeś w samą porę!

LUCYAN.

Gdzież tam! słucham już od pół godziny tu pod oknem, ale mnie nareszcie ten figlarz znudził. (*Wchodzi przez okno*). Bierz go pan z frontu, ja z tyłu.

ZDZISŁAW (*zbliżając się do Laufena*).

Oddaj, niekzemniku!

LAUFEN.

C'est un acte de violence, gwałt dokonany na mnie, protestuję!

ZDZISŁAW.

Nie nadużywaj mojej cierpliwości!

LUCYAN (*obojętnie*).

Panie Orski, jabym radził najprzód go powiesić za nogi, a potem zrewidować.

ZDZISŁAW (*biorąc Laufena za kark*).

Z téj ręki już się nie wyslizgniesz!

LAUFEN.

Puść mnie pan—powiem prawdę. Listu nie mam przy sobie.

LUCYAN (*dobywając mu z pod surduta pugilares*).
Przekonamy się sami o téj prawdzie.

ZDZISŁAW.

Panie Lucyanie, to moja tajemnica; racz go pan pilnować, ja przeszukam.

LAUFEN.

Bodaj pioruny!.. list jest na wiérzchu.

ZDZISŁAW (*wyjmując list*).

Pierwszy raz w życiu powiedział prawdę. A teraz precz!

LUCYAN (*biorąc go pod rękę*).

Mam zaszczyt wskazać panu główne schody, tylko proszę ostrożnie, żebyś karku nie skrzył, bo stracę miłą sposobność widzenia pana kiedyś na bardzo znacznej wysokości.

LAUFEN.

Psem byłbym, gdybym się na was nie pomścił! (*Ode drzwi*). *Dummes Volk!*

LUCYAN.

Pan dobrodziej tu jeszcze? (*Laufen wybiega*).

Scena 8.

ZDZISŁAW i LUCYAN.

ZDZISŁAW.

Panie Lucyanie, podaj rękę. Uratowałeś mi życie może, a co więcej, pomogłeś mi w bardzo dobrej sprawie. Chyba Bóg zesłał cię tam pod okno.

LUCYAN (*obojętnie*).

Może i Bóg, albo ja wiem; ale koniec końców, wysłuchałem piąte przez dziesiąte waszój, przyznam się, dość dziwnej rozmowy.

ZDZISŁAW.

Jakże żałuję, że w téj chwili nie mogę zadość uczynić słusznej pańskiej ciekawości.

LUCYAN.

Wielka szkoda, bo przyznam się panu, panie Orski, nie mogę wyjść ze zdziwienia, co ten lotr robił tu o téj porze w naszym domu.

ZDZISŁAW.

Zdarza się czasem dziwny zbieg okoliczności...

LUCYAN.

Bardzo dziwny, a ja muszę panu także kilka słów dopowiedzieć. Jak mnie pan widzisz, byłem synem hulaszczym i marnotrawnym człowiekiem kauczewego i pracowitego. Zadłużony, a co najgorzej znudzony śmiertelnie, chciałem popełnić jedno jeszcze głupstwo, ożenić się z panną Spuerer dla jój milionów. Na szczęście wyręczył mnie w tém pański kuzyn, hrabia Orski. Nie wiem dlaczego, fakt ten mnie wytrzeźwił. Zacząłem walczyć, bo zacząłem się nudzić nad księgami handlowymi, które teraz już mnie trochę zajmują... dalej zacząłem się rozglądać we własnej rodzinie, więcej dbać o swego ojca, o swą siostrę. Tak, panie Orski, ja dotychczas nie wiedziałem nic o niej, lecz z kilku szczegółów dowiedziałem się więcej, aniżeli bym pragnął.

ZDZISŁAW (*podając mu rękę*).

Dzielny z pana młodzieniec!

LUCYAN (*chłodno i nie przyjmując ręki*).

Mój ojciec, jak panu może wiadomo, miał swoje przesady. Mimo majątku, unikał przedewszystkiem zetknięcia się ze sferą arystokratyczną. Tymczasem pewnego dnia zastałem tu hrabiego Artura. Potem hrabia ten zniknął; to i lepiej, pomyślałem. Lecz teraz dzieje się znowu co innego. Wiem trochę od ciotki, trochę z własnej obserwacji i dlatego będę szczery, ośmielając się zapytać pana, w jakim celu przebywałeś w tym domu?

ZDZISŁAW.

Ależ panie drogi, zapytaj się ojca, szukałem chleba...

LUCYAN.

I znalazłeś... miłość?

ZDZISŁAW.

Panie Lucyanie, jestem ubogi, a jako taki, nie przyjąłbym nigdy ręki kobiety, któraby mnie karmiła próżniaczo; dziś wreszcie ureguluję się z pańskim ojcem, a jutro nie ujrzysz mnie tu więcej.

LUCYAN.

Może działam zbyt pośpiesznie, lecz jesteśmy mężczyznomi; wolę ten pośpiech, niż wahanie się, które, ubliżając mojej siostrze, panu nie czyniłoby zaszczytu. Dlatego poprzestaję na tém, nieciekawym będąc wyjaśnieniem co do awantury z Laufenem. A teraz nie wątpię, że mi pan podasz rękę, którą uścisknę serdecznie, z wyrazem prawdziwego szacunku.

ZDZISŁAW.

Proszę o ten szacunek, bo zdaje mi się że go zawsze godnym będę. (*Sciskają sobie ręce*).

LUCYAN (*uderzając się w czoło*).

Szalony jestem! A jeżeli siostra moja powzięła istotne uczucie dla pana, a pan również będziesz mógł odpowiedzieć jój wzajemnością, jak się wtedy zachowasz?

ZDZISŁAW.

Wszak mówiłem dopiero...

LUCYAN.

Panie Orski! mimowolnej méj sympatii ku panu nie żałuję wcale.

Scena 9.

Ciż, JULIA, *potém* ŻYLASTOWICZ.

JULIA (*wpada z głębi i porywa rękę Zdzisława*).

Jakżem szczęśliwa że pana widzę! Niespokojna do najwyższego stopnia, nie mogłam pozostać dłużej i pożegnawszy się naprędce pod pierwszym lepszym pozorem, przyjechałam, nie czekając ojca i cioci. Lecz cóż-to, pan tak ponury, czyżby?..

ZDZISŁAW (*półglosem*).

Milczenie, na Boga!

LUCYAN.

Siostrze, pan Orski właśnie mnie zawiadomił, że nasz dom jutro opuszcza.

JULIA.

Opuszcza nas? cóż to znaczy?

ZDZISŁAW.

Wszak miałem zamiar już dawniejszy, jak pani wiadomo; obecnie jednak interesa rodzinne wzywają mnie bezzwłocznie w Podlaskie.

JULIA.

Nie, tu coś zaszło między wami. Wszak dziś jeszcze nie wspominałeś pan ojcu o tém?

LUCYAN.

Siostrzyczka moja bawi się w sędziego śledczego.

ZDZISŁAW.

W rzeczy tak prostéj, tak zwyczajnéj...

LUCYAN.

Témbardziej, że przecież pan Orski bywać u nas nie przestanie.

JULIA (*wybuchając*).

Nie, nie, tak byé dłużej nie może! Bracie, ty nie wiesz...

ZDZISŁAW.

Zaklinam panią!

JULIA.

Panu Orskiemu zawdzięczam mój honor, mój spokój, a może i życie moje!

LUCYAN.

Siostrze!

JULIA.

Milczenie dłuższe doprowadziłoby mnie do rozpacz. Zdawało mi się że kocham hrabiego Artura, który sobie z uczuć moich i z mego honoru czynił igraszkę. Pewnej nocy...

LUCYAN.

Na Boga, siostrze, straszne, chcesz mówić rzeczy!

ZDZISŁAW.

Honorem moim zaręczam panu, że tylko w imaginacji pani rzeczy te straszne się wydają. Hrabia Artur pragnął się rozmówić z panią, ja przeszkodziłem rozmowie, ot i cała moja zasługa.

JULIA.

A ten list?

ZDZISŁAW.

Jest u mnie, proszę być spokojną.

JULIA.

List, który nierozsądna napisałam, znajdował się w ręku niekzemnika.

LUCYAN.

Wiem, wiem, niestety! Biédna siostrze, a ja nie czuwałem nad tobą!

JULIA.

On czuwał, on, którego twoje podejrzenia wydalają teraz z naszego domu!

LUCYAN.

Idę natychmiast zażądać rachunku od hrabiego Artura. (*Wychodzi; we drzwiach spotyka się z Żylastowiczem*).

ŻYLASTOWICZ (*wchodząc*).

Dokąd tak pędzisz o tym czasie?... A, moja panna jest tu! Dalibóg, pięknie się spisała! Nie czekając na mnie ani na ciotkę, odjechałaś, Bóg wie dlaczego, do domu.

LUCYAN.

Dobrze ojciec żeś przyszedł; raz nareszcie dowiesz się co się w twoim domu dzieje.

ŻYLASTOWICZ.

Strasznieś jakoś rozgorzał od pewnego czasu. Cóż mi masz do powiedzenia? Może te dowody...

LUCYAN.

Gorzéj.

ŻYLASTOWICZ.

No, ale usiądźmy przecie. Panie Zdzisławie, witam! Juleczko co się tu stało? Chodźno do mnie, pocałuj starego ojca. Czegóż tak drżysz?

JULIA.

Lucyan powie wszystko.

ŻYLASTOWICZ.

Ba! kiedy jemu się tylko zdaje że coś wie.

LUCYAN.

Gdybyż tak było, niestety!

ŻYLASTOWICZ.

Mój drogi, nie jęcz tak patetycznie. Siadajże, panie Zdzisławie!

ZDZISŁAW.

Rzeczywiście, niepodobna mi w téj chwili...

ŻYLASTOWICZ.

To się pokaże w drugiej części. Niéma nikogo, jesteśmy jakby w rodzinie, boć przecie pana nważałem zawsze za przyjaciela; zatem słuchajmy co nam powie mój syn, a obecnie nawrócony wartogłów.

(*Dokończenie nastąpi*).

ZAMEK SIENIAWSKICH W BRZEŻANACH W GALICJI.

Za Lwowem, o mil 12 ku południowemu wschodowi, leżą nad Złotą Lipą Brzeżany, miastem powiatowe. Położenie ich bardzo jest wdzięczne: zewsząd otaczają je wzgórza lasem pokryte. Wzgórze północno-zachodnie nazywa się Storożyńska, zapewne dlatego, że tam za czasów b. rzpltej

ognie strażnicze zapalano podczas napadów kozackich i tatarskich. U stóp Storożysk rozciąga się staw bardzo znacznej rozległości, silną groblą od miasta oddzielony. Staw ten, w zimie wyborny dla sportu łyżwowego, a w lecie do kąpiel, nie przedstawia jednak malowniczego widoku z tego powodu, że z jednej strony ciągnie się nad nim w prostej linii gościniec rządowy, do Lwowa wiodący, poniżej którego spuszcza się ku samej wodzie jednostajny aż do znużenia sznur, koniecz-

nej wprawdzie, ale bardzo prozaicznej wikliny; z drugiego zaś brzegu aż do samej wody wycięto i wygolono najstaranniejszą wszelką krzaczynę.

Ale dam tej sprawie pokój, bo jakim słyszał niechętnie słowa właściciela Brzeżan: „A temu gryzmole czego się znów zachciało? Czy niedość że mu pozwalam kąpać się w moim stawie, a w zimie przypatrywać zgrabnym ruchom łyżwiarzy i łyżwiarek na lodzie, wreszcie że mu nie wzbraniam spacerować po mojej grobli? Możeby mu



Zamek Sieniawskich w Brzeżanach. (Wytrawiał na cynku L. Kraków).

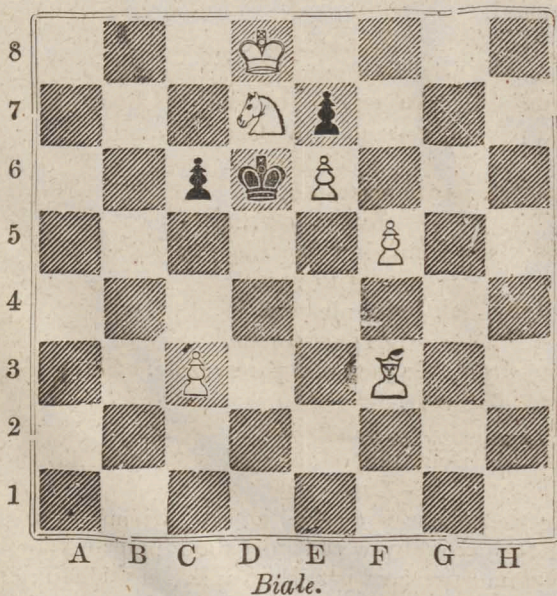
192

SZACHY.

ZADANIE XXIX.

Białe zaczynają i dają matę za 4 posunięciami.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 28.

Białe.

Czarne.

1) H4—H1.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁA Zygmunta Kaczkowskiego

przejrzane i uzupełnione przez autora.

TOMÓW JEDENAŚCIE.

Jest to wydanie na pięknym welinowym papierze, każdy tom objętości około 25 arkuszy ścisłego druku, z wizerunkiem autora i poglądem krytycznym przez W. Korotyńskiego.

CENA:

Dla prenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.
w Warszawie za 11 tomów . . . rs. 10.
w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 11.

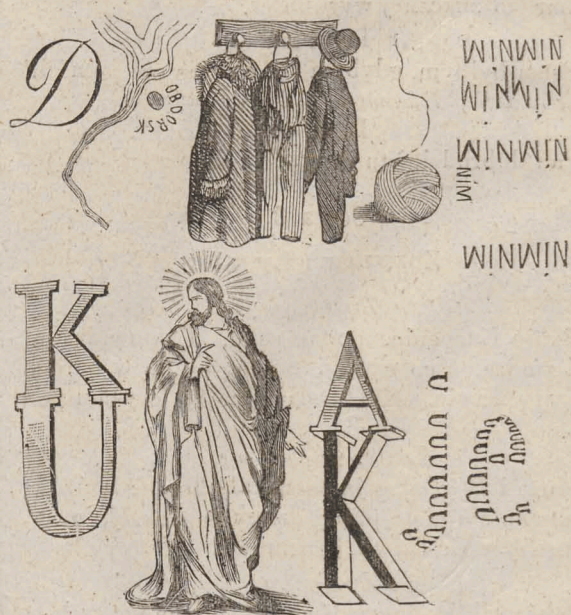
W ozdobnej oprawie zagranicznej en relief.
w Warszawie za 11 tomów . . . rs. 14 kop. 40.
w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 15 „ 40.

Dla nieprenumerujących Tygodnika lub Wędrowca cena podwaja się.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

193



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 31.
Zbytek w wielkich miastach po ulicach paraduje,
a nędza w kątach się kryje.

jeszcze gondolę sprawić i do usług oddać? Otóż corychłej rejteruję od stawu ku miastu.

Tu znowu w prawo pociąga wzrok ku sobie gmach okazały, na wschodnim brzegu Storożysk przyczepiony. Jest nim klasztor i kościół o. o. bernardynów, założony w początku wieku XVIII przez żonę ostatniego z Sieniawskich. W samym środku rynku wznosi się gmach w czworobok stawiany, z wieżą zegarową, na której szczycie, powyżej chorągiewki o barwach austriackich, wznosi się herb właściciela Brzeżan, Stanisława hr. Potockiego, Piława. Dół tego gmachu zajmują kramy, pełne zgiełkliwego i brudnego żydostwa, a na pierwszym piętrze umieszczono klasyczne gimnazjum rządowe. Gimnazjum to założone było pierwotnie r. 1789 w Zbarażu i miało tylko 5 klas. Na prośbę zaś księżny Lubomirskiej w r. 1805 do Brzeżan przeniesione i w ostatnich latach do 8 klas uzupełnione zostało.

Nareszcie prowadzę łaskawego czytelnika ku zamkowi, ku zamkowi tylko, a nie do zamku samego, bo niema tam już dla badacza nic ciekawego, wyjąwszy jedną kaplicę. Stoją wprawdzie mury dachem pokryte, gmach w czworokąt stawiany zachował dotąd swą dawną postać, przynajmniej w ogólnych zarysach, ale zaniedbany i opuszczony w wysokim stopniu. W zachodnim skrzydle gmachu umieszczono browar, resztę obrócono na koszary dla załogi tutejszej. Kaplica w stylu odrodzenia, o dwóch kopułach, zwrócona frontem ku zachodowi, stoi wśród podwórza. Oparta wschodnią ścianą o korpus gmachu, służyła do bardzo niedawna za skład przyborów i materiałów piwarskich. Ale co gorzej: ze sklepów grobowych wywleczone i na posadzce kościelnej obok północnej ściany ustawiono trzy trumny Sieniawskich, odlane bardzo pięknie z cynku. Na wiekach trumien figury hetmanów, w postaci leżącej. Trumny te mieszczą dotąd zwłoki nieboszczyków. Gdzie się podziła reszta trumien, Bóg raczy wiedzieć. Nie łaskawiej postąpili sobie ludzie z marmurowymi posągami hetmanów, umieszczonemi po prawej i po lewej stronie wielkiego ołtarza, z którego nawiasowo wspominając, została tylko mensa szkaradnie obtłuczona. Co więcej, najpiękniejsze z pomników, umieszczone w prawym skrzydle kaplicy, zgrozą przejmują dziś widzów. Z tablicy umieszczonej nad leżącą postacią ostatniego Sieniawskiego, Adama, hetmana w. kor., wydarła brutalna ręka złote czy złocene litery, które na śrubkach do tła były przymocowane i napis stanowią. Jednemu z Sieniawskich odłuczono nos, drugiemu nogę, innego zabiłono wapnem. A szkoda, wielka szkoda tych pomników, wykutych mistrzowską ręką z czerwonego marmuru! Daj Boże, aby nad tą kaplicą ulitowali się konserwatorzy zabytków starożytnych i postarali się przynajmniej o fotograficzne zdjęcie tego, co jeszcze ocalało. O „zębnie czasu“, na który zazwyczaj winę niedbalstwa i grzeczności lekkceważenia się składa, nie nie wspominam, bo i gmach cały, i kaplica, i pomniki byłyby wieki przetrwały, gdyby nie przewrotność ludzka, co zmarłym nawet ich spoczynku zazdrości, z grobowców kamienie na zakładanie szynkowni wyciąga, komnaty złożone wapnem obryzguje, a w brudzie się rozkoszując, celem przedszego zdeptania i zgniecenia przeszłości, browar w siedzibie przodków urządził. Może to tak być musi w naszym wieku przemysłu, falsyfikatów i ogólnego bankructwa?...

Teodor Czuleński.

KORESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Lwów, w lipcu.

D. 18 b. m. odprowadziliśmy do grobu zwłoki Aleksandra hr. Fredry. Ojciec polskiej komedii, którego utworami pokolenie obecne rozpogadza zaspione czoło, nie był już osobicie znanym temu pokoleniu. Od lat zgórą piętnastu nikt go z nas tutaj nie widział w sferze towarzyskiego albo literackiego życia. Wiedzano tylko, iż czi-

godny starzec, co piórem i szablą władał z równą energią i zacnością, mieszka niedaleko poza grupami drzew, okalających skromny pałacyk jednopiętrowy, przy ulicy od lat kilku nazwanej ulicą Fredry. Wiedzano i uczuwano w tém pewną chlubę dla grodu naszego, iż w murach jego przebywa mąż, który w gronie największych nowoczesnych talentów stanąć ma prawo, który w „Słubach pańskich“ wydarł berło scenicznego jedynowładztwa Molierowi, a całym szeregiem arcydzieł o niezrównanej swojskości wypowiedział, jak nikt po nim dotąd, rodzimą naturę społeczeństwa naszego, w tyłu najrdzenniejszych polskiej jęj przejawach. Mąż ten umarł i uroniliśmy znowu cząstkę chluby naszej; gród nasz wyludnia się ze swoich zaszczytów. Pół roku nie minęło, jak zgasł twórca „Zamku kaniowskiego“, a dzisiaj, o parę kroków od domu na którym marmurowa tablica zaświadcza potomkom, iż mieszkał w nim Goszczyński, nowy kir się rozesał i nowa sława kraju zstąpiła do grobu.

W coraz żywiej dolegającym uczuciu sieroctwa powiedliśmy przeto zwłoki Fredry na wieczysty spoczynek. W dniu powyżej oznaczonym, o godzinie 10tej zrana, tłumy ludu napłynęły w ulicę Fredry; wcześniejsi umieszcili się w dziedzińcu pałacowym, dalsze kręgi rozwinęły się wzdłuż ulicy Akademickiej, sięgając aż pod uniwersytet i taras kościoła św. Mikołaja. Eksportacyi zwłok do tegoż kościoła, jako parafialnego, dokonał najprzewielebniejszy arcybiskup lwowski ks. Wierchlejski, wlicznym gronie duchowieństwa; on również odprawił w kościele żałobne nabożeństwo, podczas którego wyborowe siły wokalne naszego miasta, z paniami Praun i Lederer na czele, wykonały mszę żałobną na chórze. Dysonansem w poważnym i uroczystym nastroju całego obrzędu było przemówienie kaznodziei, ks. Golichowskiego, zakonu o. o. bernardynów. Lwów posiada kilku znakomitych mówców kościelnych, ale ci przypadkowo nie byli podówczas w mieście obecni; komitet więc uprosił rzeczzonego kaznodzieję, który, jak się okazało, pod wielu względami nie dorósł do wyżyny trudnego zadania, jakie się tutaj nastęczyło.

Około godziny 1szej z południa czarne masy publiczności, która zalegała cały plac przed kościołem, rozłamały się na dwie połowy i utworzyły obszerne przejście dla konduktu pogrzebowego, który miał ztąd wyruszyć, ażeby okrążywszy najcenniejsze ulice miasta, stanąć u rogatki Gródeckich, zktąd zwłoki Fredry odwiezione być miały do grobu familijnego w Rudkach. Ulice któremi przechodził kondukt ubrane były obficie w czarne flagi, powiewające ze wszystkich prawie okien i balkonów. Szczególniej imponującym był widok, kiedy pochód rozwinął się szeroką i długą wstęgą na placu Maryackim; cały plac dosłownie zalany był powodzią głów ludzkich, ponad którymi szumiły flagi żałobne, podwiewane łagodnym wiatru podmuchem. Uroczystą ciszę przerywał tylko smętny śpiew księży i szczerze westchnienia żalu, wydobyte z niejednej piersi, czującej doniosłość straty, jaką kraj cały poniósł ze śmiercią autora „Zemsty.“

Zapewne czytelników moich bliżej go opiszę. Rozpoczął on się, jak zwykle, dwoma daleko naprzód wysuniętymi szpalerami starców pici obojga, z miejskiego domu ubogich św. Łazarza, ubranych w suknie szafirowe z czerwonymi krzyżami. Po nim następował sympatyczny hufiec dziatek z froebrowskiego zakładu pani Biruty Łukaszewiczowej, ze swemi nauczycielkami; była to chwała, wyśpiewwana pocię ustami niewiniątek, podobno, według słów Chrystusa, najwymowniejsza i najszczerza. Dalej szły bractwa i zakony, ze swym przyborem kościelnym chorągwi i krzyżów. Za nimi dopiero otwierał się długi szereg rozmaitych stowarzyszeń, korporacyi i ciał reprezentacyjnych. Szereg ten rozpoczynała młodzież rzemieślnicza, należąca do znanego stowarzyszenia „Gwiazdy“, dalej postępowała młodzież drukarska, handlowa i liczny nader zastęp młodzieży akademickiej, ugrupowanej około wieńca laurowego, który niósł jeden z grona. Tu także szło grono arty-

stów sceny lwowskiej, z dyrektorem p. Stanisławem Dobrzańskim na czele; następnie przedstawiciele stowarzyszeń kredytowych, banków, asekuracyi i t. d. Radę miejską w nieobecności prezydenta miasta, p. Aleksandra Jasińskiego, wiodł czcigodny mecenas, dr Marceł Madejski; obok niej postępowały deputacye innych miast galicyjskich, Przemyśla, Stanisławowa i t. d. Za nimi roztoczył się wspaniały orszak w historycznych strojach polskich, same postacie okazałe i poważne. Był to Wydział krajowy, reprezentowany przez wice-marszałka, p. Oktawę Pietruskiego, dra Franciszka Smolkę, hr. Władysława Badeniego i wielu innych; pomiędzy nimi postępował także prezydent miasta Krakowa, dr. Mikołaj Zyblikiewicz, wysłany na czele deputacyi tamtejszej Rady miejskiej, złożonej z prof. dr. Alfreda Biesiadeckiego, dr. Samuelsohna i Dworskiego. Dalej szli pedele uniwersyteccy, a za nimi *rector magnificus* wszechnicy lwowskiej, dr. Euzebiusz Czerkawski, z dziekanami wydziałów i gronem profesorów. Długi ten pochód przedstawicieli rozmaitych instytucyj publicznych zamykała akademja umiejętności, przedstawiona przez wydelegowanych ku temu: dra Antoniego Małeckiego i hr. Stanisława Tarnowskiego. Tu dopiero szedł celebrujący prałat ks. infułat Morawski, wraz z proboszczem parafii św. Mikołaja, ks. Zygmunt Odelgiewiczem i gronem duchowieństwa rzymsko-katolickiego. Na wyniosłym karawanie, otoczonym służbą niosącą tarcze herbowe zmarłego, spoczywały zwłoki jego; tuż za nimi niósł weteran napoleoński, typowa tu we Lwowie postać, p. Pawulski, orderu nieboszczyka: francuzki legii honorowej, *Virtuti militari*, medal św. Heleny i krzyż austriacki Franciszka Józefa. Za orderami rozwinął się znowu barwny szereg wieńców, o długich, napisami zdobnych wstęgach, niesionych przez wydelegowane ku temu osoby; wieńce pochodziły od Wydziału krajowego, obywatelstwa, literatów, artystów sceny lwowskiej, kobiet polskich, młodzieży akademickiej, handlowej, drukarzy i t. d. Jeden z nich nosił napis: „Cześć narodu.“ Pochód zamykała rodzina zmarłego, opasana łańcuchem dorodnej młodzieży, należącej do tutejszej ochotniczej straży ogniowej, pod komendą swego naczelnika, p. Alfreda Bojarskiego, która powstrzymywała tłoczące się tłumy od owęj garstki osób, niemniej boleśnie dotkniętych śmiercią Fredy, jak cały kraj. Nieboszczyk bowiem był wzorowym ojcem i członkiem rodziny, i głęboki żal jęj chlubny stanowi dowód, jak po starodawnemu pojmował on węzły uczuć, które ją spajać powinny. W porządku tu wskazanym doszedł kondukt Nowym światem aż do rogatki Gródeckich, gdzie miasto nasze pożegnać miało zwłoki poety i gdzie odbyć się miał ostatni akt uroczysty pogrzebu.

Dr. Antoni Małecki wstąpił na przygotowaną mównicę i wypowiedział w treściwej a zwłaszcza ku końcowi głęboko poczutej mowie żal powszechny za Fredrą i jego pobudki. Dla scharakteryzowania tych pobudek musiał on sięgnąć w żywot zmarłego i w tym celu rozsunął przed słuchaczami całe pasmo wybitniejszych okresów życia Fredry, życia podzielonego na trzy fazy: żołnierską, od r. 1809—1815, poetycką, od r. 1820—1835 i obywatelsko-publiczną, do roku mniej więcej 1863. W pierwszej pozyskał order francuzkie i polskie, towarzysząc Napoleonowi I w jego wyprawach; uczestniczył w pamiętnym r. 1812 i bił się pod księciem Józefem Poniatowskim; gdy gwiazda wielkiego wojownika przygasła, wystąpił z wojska i osiadł we Lwowie. Tu rozpoczął się płodny zawód pisarski, któremu zawdzięczamy szereg arcydzieł. Po roku mniej więcej 1835 nie publikował już nic, zrażony krytyką, która nie oceniła najpiękniejszych stron jego talentu, ale niemniej przeto pisał. Po owym już czasie stworzył: „Wychowanek“, „Dylichan“, „Komedyę zwierząt“, „Rajmunda Mnicha“, „Wielkiego człowieka“, „Rewolwer“, „Nitę et comp“, i kilka innych komedyj. Rzeczy te dopiero teraz ujrzą światło dzienne w druku, a niewątpliwie i na scenie. Z wyjątkiem „Mnicha“, który jest librettem do opery Franciszka Mireckiego, są to

wszystko obszerne komedye. Z chwilą zerwania bezpośredniej spójni z literaturą, nie zamknął się jednak Fredro w jałowej bezczynności; był deputatem do sejmów postulatowych i członkiem Stanów galicyjskich, a pracom, jakie ten zawód publiczny nań wkładał, oddawał się z przykładną energią i poświęceniem. Ostatni raz imię jego pokazało się na widowni publicznej; gdy po wprowadzeniu już konstytucji w Austrii i sejmów prowincjonalnych, wybranym został z obwodu samborskiego posłem na sejm galicyjski. Przez ostatnich lat kilkanaście już nie uczestniczył w publicznym życiu: był to już starzec, nawiędzony licznymi dolegliwościami, a przez parę miesięcy dogorywał w męczącej agonii. Nie było już tajemnicą w mieście że Fredro skończy niebawem, a jednak to przygotowanie się ogółu na bolesną wiadomość nie umniejszyło powszechnego żalu, jaki wybuchł na wieść o jego zgonie. Nowa to cegła wysunęła się z fundamentów dostojnej budowy przeszłości, coraz mniej ogniw wiąże nas z czasami, które przeminęły, ale nie zdołają zatrzeć się w pamięci.

Po przemowie prof. Małeckiego, zakończonej szczęśliwym zwrotem do tych, którzy nie pilnują uprawy języka ojczystego i przenoszą francuzczyzną ponad mowę i obyczaj rodzimy, orkiestra teatralna, wzmocniona przez wojskową, pod kierunkiem drugiego kapelmistrza opery, p. Henryka Jareckiego, wykonała skomponowany przez siebie „Marsz żałobny“, pełen śladów niepospolitego talentu, jakim cechują się wszystkie utwory tego młodego, a tak wiele rokującego kompozytora. Teraz dopiero zdjęto trumnę z karawanu i przelożono ją na inny, który otrzymał przeznaczenie odwiecznia zwłok poety na miejsce spoczynku, do Rudek.

Z tego opisu ostatniej posługi, jaką społeczeństwo oddało temu, który rozpraszał od pół wieku z górą najposępniejsze jego chwile serdecznym, a zawsze poczciwym i ponad osobiste nienawiści wzniesionym humorem, łatwo przekonać się, iż uczyniono wszystko co było można, ażeby uczcić należycie poetę. Jeżeli orszak pogrzebowy był mniej licznym, niż to widzieliśmy niedawno na pogrzebie Goszczyńskiego, gdzie może około 30,000 ludzi towarzyszyło obrzędowi, przypisać to należy jedynie porze letniej, która rozprasza mieszkańców Lwowa na wszystkie strony świata i porze dnia porannej, w której znaczna większość tutejszej ludności przykutą bywa do pracy swojego zawodu. Pogrzeb Goszczyńskiego odbył się w niedzielę, Fredro w dzień powszedni. Uczyniliśmy tę uwagę dlatego, iżby w mniej licznym natłoku żałobnej rzeszy nie dostrzegł kto jakich innych, dalej sięgających powodów. Fredro cieszył się niepodzielną sympatją. Kto tylko mógł, z pewnością był na pogrzebie; stosuje się to także i do namiestnika, hr. Potockiego, który również podówczas nieobecny był w mieście.

Epilog tej smutnej uroczystości odegrał się nazajutrz na deskach sceny lwowskiej, gdzie ku uczczeniu pamięci Fredry odegrano „Zemstę“, poczem odsłonięto apoteozę poety, a znakomita artystka nasza, pani Teofila Nowakowska, wygłosiła wiersz jednego z poetów miejscowych. Przedstawienie odbyło się na dochód funduszu konkursowego imienia Fredry. W ten sposób dramatyczny konkurs lwowski przeszedł w dziedzinę faktów dokonanych. Nie wiem jeszcze jak wysoką kwotę na ten cel przyniosło przedstawienie „Zemsty“, w każdym atoli razie łatwiej już będzie uzupełnić ją do pożądanego wysokości datkami bądź to dyrekcji teatru, bądź osób prywatnych.

Kiedy już mowa o nieboszczykach, należy wspomnieć także o drugim, świeżo zmarłym pracowniku pióra. Był nim Jan Tański, dawniejszy redaktor „Kaliszanina“ i tłumacz uzdolniony. Zmarły dokonał przekładu: „Hana islandzkiego“ Wiktora Hugo i kilku innych utworów; a nie były to rzemieślnicze przekłady, ale sumiennie wykonane prace. Od roku Tański był współdyrektorem teatru lwowskiego i jemu to zawdzięczać należy wprowadzenie na scenę tutejszą niejednego utworu poważniejszego. Umarł d. 14 b. m.

w sile wieku, na jakąś nagłą chorobę gardlaną. Teatr, a zapewne i piśmiennictwo, przez śmierć jego poniosły niewątpliwą stratę.

W chwili gdy miasto nasze wyludniło się w połowie i zatrzymane są wszystkie pulsa życia zimowego, jedyny przedmiot istotnego zajęcia stanowi wzbogacająca się z dniem każdym wystawa sztuk pięknych. Materiału przybywa ciągle z Krakowa i zagranicą. W przeszłym już liście podniosłem parę płócien celniejszych. Dziś obraz ogólny wystawy należy mi wypełnić i zaokrąglić, naturalnie najważniejsze tylko notując fakta. Niemalże wrażenie sprawił tu p. Ajdukiewicz z Monachium, który tak portretem hr. Szembeka, jak świeżo nadesłaną kompozycją w rodzaju batalijnym dowiódł, iż posiędziemy w nim niebawem jednego więcej malarza o niepośledniej wartości, malarza, który może zapełnić zdoła wyłom, dokonany w naszych szeregach artystycznych przez śmierć Gierzyńskiego. Bitwa o której mowa jest pod każdym względem doskonałą. Przywykliśmy wobec najlepszych naszych malarzy uskarżać się na rażące braki w kompozycji; tém miliej więc powitać nam w panu A. artystę, który ma niepospolity instynkt kompozytorski: w obrazie jego wszystko układa się wdzięcznie, logicznie i harmonijnie. Malarstwo nasze niewiele posiada obrazów, w którychby układ i wyraz motywu tłumaczyły się tak rozumną i wytrawną prostotą wykonania. Nie zamierzam wdawać się tutaj w szczegóły obrazu, nie mogę jednak nie podnieść siły i świeżości kolorytu, jakim włada monachijski artysta, i tej plastycznej a zwięzłej charakterystyki, którą wyposażał umiał figury obrazu. Do talentu pana A. wiele przywiązujemy wagi i rokujemy mu wpływ na współczesne malarstwo krajowe.

Juliusz Kossak w tych dniach nadesłał dopiero co wykonaną akwarelę historyczną znacznych rozmiarów: „Elekeya Jana Kaźmirza.“ Jest to praca w swoim rodzaju mistrzowska. Kossak należy także do tej szczupłej drużyny artystów naszych, którzy umieją osnuć i ułożyć plan, zestroić części w całość i wydobyć z niej pierwiastek swobody i ruchu. Dzisiejsza jego akwarela jest owocem talentu nawskróś dojrzałego, który we wszystkiem umie zachować takt i miarę. Na szerokiej przestrzeni pod Wolą, kędy wzrok zasięże, rozpostarło się rycerstwo i szlachta, z senatorami na czele, obok różnobarwnych mozaiki zagranicznych poselstw, niemalże naówczas rolę w Polsce odgrywających. Na przodzie obrazu ksiądz w komży jedzie z krzyżem na koniu, rozpoczynając kawalkadę prymasa Macieja Łubińskiego, który objeżdża okopy i zwiastuje, na kogo padł wybór. Pomiedzy krucyferem a samym prymasem jedzie marszałek sejmu, Filip Obuchowicz, przepyszny typ dygnitarza rzeczypospolitej, mający poczucie, że w tej chwili na barkach swych dźwiga losy kraju. Otaczają go dokoła hajducy. Prymas na dzielnym białym arabie odbiera wota od Sieniawskiego w imieniu jego województwa; po za nim jedzie grono dworzan i husary. Szczególnie ta grupa środkowa, jakoteż szlachta na koniach po prawej, wre życiem i energią. Mniej szczęśliwą pod względem kompozycji wydała nam się część prawa obrazu, stanowiąca grono magnatów i szlachty, pieszko ustawione i w śniegu brodzące. Nietyle tu ekspresji typowej i werwy. W najnowszej tej akwareli Kossaka nie dostrzegliśmy ani śladu maniery, która nawet u tak wytrawnego i skończonego artysty dawała się czasami tu i owdzie zlekka dostrzegać w zbyt ryzykownym prowadzeniu linii, mianowicie w skrótach. Tutaj wszystko technie miarą i nieposzlakowaną prawdą.

Do celniejszych też przedmiotów na wystawie należy świeżo wykonany i nadesłany tu obraz Proszkowskiego z Krakowa: „Kiedy ranne wstają zorze.“ Tenże sam artysta przed kilku laty wymalował „Piasta“, który surowo i zasłużenie został osądzony; następnie dał na wystawę obraz religijny, przedstawiający biust „Chrystusa“, który w tym roku oglądany we Lwowie, świadczy już o sumiennych studyach i szlachetnym kierunku jego talentu, nieidącego utartymi ścieżkami. „Chrystus“, jakkolwiek nie może być uważany za kompozycją ściśle religijną, brak jej bowiem

właściwego nastroju, jest pomysłem prawdziwie oryginalnym, i to w dobrém tego słowa rozumieniu. Widać że artysta starał się pojąć zadanie swe w sposób nowy, odrębny, i chociaż w obrazie jego więcej mimowoli uwydatniła się idea pogańskiej siły, właściwej na przykład rzymskiemu Jowiszowi, aniżeli ta moc łagodna i tkliwa, która jest podstawą chrystyanizmu i charakterem jego założyciela, to jednak w wykonaniu pomysłu artysty przynależny i pracę, i samodzielność, i talent. Ostatni zaś jego obraz, dużych rozmiarów, przedstawiający grono pastuszków śpiących na widok brzasku jutrzejszej pieśni powitalnej: „Kiedy ranne“, jest znowu wielkim krokiem naprzód. Tu może po raz pierwszy powiodło się artyście wypowiedzieć w całości to co myślał. Forma odpowiada w zupełności idei; przedmiot wyraził się w całej prostocie swej i prawdziwości językiem szeregocznego uczucia. Grupa pastuszków pojęta bardzo wdzięcznie; wymodelowanie ich swobodne i sympatyczne; chłopaki te żyją i śpiją. Pieśń ich przelęwa się niejako w słuch widza, stojącego przed obrazem. Słyszymy prawie tę rzewną melodyą sielską, którą prostaczka dusza chwali swego Pana. Niemniejszą wartość ma ton pejzażu. Te opary poranne, wznoszące się z dolin, ta siwa rosa mgłą smugą pokrywająca zielone przestrzenie łąki, ten wilgotny, czerstwy oddech natury obudzonej, nie były to rzeczy łatwe do wykonania. Pan P. uwydatnił to wszystko bardzo subtelnie, z prawdziwie poetycznym smakiem i finezyą pendzla. Witamy w nim artystę czującego.

Matejko wystawił cały szereg, kilkanaście a może i więcej numerów liczący, studyów i szkiców, stanowiących pierwotne pomysły do późniejszych arcydzieł. Przesłuchujemy tu dwa studia portretowe, chociaż niewykończone: mężczyzny o twarzy marsowej, energicznej, z zawieszonym wąsem, i młodej kobiety o wyrazie cichym, tkliwym, melancholijnym. Tak plastycznego wydobycia kształtów oblicza ludzkiego nie spotykamy w portretach najlepszych nawet specjalistów naszych; tu każda linia nacechowana jest genialną siłą rzutu i wyrazu. Mniej stosowne wydało nam się wystawienie na widok publiczny ołówkowych szkiców, z których niepodobna częstokroć przeczuć genialnych kreacji, urosłych później na tle tych pierwszych, niejasnych i niekształtnych pomysłów. Że po trzech wiekach przeplacamy pierwotnie kartony Michała-Anioła, to zrozumiałe; ale artysta nasz, dzięki Bogu, żyje wśród nas i dopóki może obdarzać nas utworami skończonymi, dopóty produkowanie na widowni publicznej pierwszych konturów znanych kompozycji nie wydaje nam się rzeczą właściwą. Nie wiemy, czy sam nawet artysta kontent jest z tej wystawy swoich szkiców, która podobno przyszła do skutku za obcą inicjatywą.

W tych dniach odbył się w Samborze dziesiąty walny zjazd galicyjskiego Towarzystwa pedagogicznego, które z każdym dniem nabiera więcej wpływu i jest dziś już prawdziwie poważnym organem krajowego nauczycielstwa, wyrazem jego dążeń i rosnącego poczucia solidarności. Stowarzyszenie to liczy obecnie 2217 członków i rozgałęziło się po całym kraju, utrzymując z własnych funduszy szkoły i wydając książki pedagogiczne. Broni ono energicznie moralnych i materialnych interesów nauczycieli szkół ludowych i średnich. Świeżo odbyte zgromadzenie podniosło głos w sprawie wyswobodzenia się z pod krepującego wpływu gminy wiejskiej na szkołę. Uchwaliło mianowicie projekt nowej ustawy szkolnej, który, jeżeli sejm go zatwierdzi, będzie wielkim krokiem postępu dla krajowego szkolnictwa. Dotąd nauczyciel wiejski pozostaje w bardzo wielu rzeczach na łasce miejscowej reprezentacji gminnej, złożonej z ciemnych i zbałamuconych żywiołów; nie rozumieją one spraw oświaty, odmawiając albo przewlekając wypłaty pensyj nauczycielskich, skąpiąc na potrzeby pedagogiczno-dydaktyczne szkoły, a nawet poprostu przesładując nauczyciela, który szanuje swą godność i nie zna służalstwa. Projekt świeżo uchwalony odbiera znaczną część wpływu bezpośredniego na szkoły ra-

dom szkolnym miejscowym, a przenosi go na rady okręgowe, złożone już przeważnie z żywiołów inteligencji prowincjonalnej; im oddaje on prawo prezenty nauczyciela i wyboru inspektorów miejscowych, potrzeby zaś szkoły opęda drogą przymusowego podatku miejscowego, pobieranego jako dodatek do podatków autonomicznych. Również i płaca nauczycieli naszych nie dorosła dotąd do wysokości, której wymaga sprawiedliwość społeczna; projekt ustanawia, iż najniższa płaca nauczyciela wojskiego ma wynosić 400 złr., w miastach zaś poniżej 10,000 mieszkańców co najmniej 600 złr., w miastach powyżej 10,000 mieszkańców 800 złr., a we Lwowie i w Krakowie najmniej 900 złr. Projekt ten, uchwalony przez walny zjazd Towarzystwa pedagogicznego, stanowi gruntowną reformę istniejących ustaw szkolnych i życzyby należało, ażeby sejm krajowy nie lekceważył tego objawu zbiorowej woli nauczycielstwa i projekt zjazdu wyczerpującej poddał dyskusji.

Kronika paryzka.

Z Paryża do Villepreux.

W ostatnim liście przyrzekłem wam kilka słów o Villepreux, siedzibie naszego wieszcza Bohdana; dotrzymuję dziś słowa, bo „*verbum nobile debet esse stabile*.“ Niedługa to droga, 29 kilometrów, blisko trzy mile ukraińskie! a po drodze Wersal, St. Cyr... nie mówiąc już o całej okolicy pomiędzy Paryżem i Wersalem. Tu mię zatrzymuje nagle gramatyka polska. Jak to pisać należy: Wersalem czy Versailles'ami? Czytałem niedawno w Tygodniku wzmiankę o dziełku Walińskiego: „O błędach naszych w mowie i piśmie“... i dowiedziałem się, że to jest potrzebą i bogactwem naszego języka *odmieniać* imiona własne... Tak odmieniając, zrobiliśmy Wersal z *Versailles*, a z *Paris* Paryż. Rozumiem że tam chodziło o spadkowanie imion, ale jakże tu spadkować *Versailles*? Wiadomo wszystkim, że to stary francuzki, wyszły dziś z użycia wyraz ludowy; znać on niegdyś to samo, co się u nas nazywa wybojami, bo gdzie są wyboje na drodze, tam wywrót jest łatwy... Rzeczownik ten liczby mnogiej pochodzi od słowa: *versez*, wywracać i wywracać się. My zarzuciliśmy jednak ortografią *Versailles*, a piszemy i mówimy Wersal, i każdy rozumie o co rzecz chodzi;—niech zatem zostanie Wersal... Są to wyjątki... a wyjątki własnie, jak powiadają Francuzi, potwierdzają regułę... Ale zostawmy gramatykę na prawo, a sami pojedźmy na lewo.

Na lewo?... To sławny pałac Ludwika XIV. Na wydmuchach piasku, pośród dość smutnej, a wówczas prawie bezludnej okolicy, do której prowadziły pełne wybojów drogi, podobało się wszechmocnemu — nie, i to źle, bo wyraz ten po polsku Bogu się tylko samemu należy— a więc wszechwładnemu Ludwikowi XIV postawić pałac, zasadzić lasy, stworzyć ogrody, sprowadzić wodę, której tam do picia nawet niezawsze starczyło... i stało się według jego woli, chociaż poniesione wydatki zwały się na szalę skarbowej równowagi i stały się jedną z głównych przyczyn, z których się wyrodziły następne zawikłania, a nakoniec wielka rewolucya francuzka.

Ten pałac i to miasto przywodzą mi na myśl czas, kiedy Wersal został główną kwaterą wojsk pruskich 1870—1871 roku. Pozwólcie że zaczepię o te wspomnienia, których daremnieby czytelnik szukał gdzieindziej, a które chciałbym utrwalić teraz, póki jeszcze o nich pamiętam.

Mieszka tu w Wersalu niejaki d'Escayrac de Lauture, margrabia, pan wielki, legitymista. W czasie kiedy Karol X opuścił Francją w 1830 roku, ojciec dzisiejszego margrabiego towarzyszył jadącemu na wygnanie królowi z całą swoją rodziną. W czasie tej dobrowolnej, kilkoletniej emigracji, stało się, iż wypadkiem gdzieś u wód w Niemczech rodzina francuzka spotkała się z rodziną dzisiejszego cesarza Wilhelma, a wówczas tylko

księcia pruskiego. Przy dzieciach p. d'Escayraca znajdował się jeden z uczonych pisarzy francuzkich, członek nawet akademii. Ta okoliczność sprowadziła bliższe jeszcze stosunki pomiędzy emigrantami francuzkimi i rodziną królewską, a raczej książęcą pruską—i przez dwa sezony dzieci jednej i drugiej rodziny słuchały wspólnie nauk uczonego akademika paryzkiego. Ztąd zrodziła się powoli wielka zażyłość, szczególniejszą pomiędzy dwoma chłopcami, z których jeden—jest to dzisiejszy „*unser Fritz*“, a drugi żyjący margrabia d'Escayrac.

Wojna i najście Francyi w 1870 r. zastały tego ostatniego w Wersalu, a skoro miasto zostało zajęte przez armią księcia pruskiego, p. d'Escayrac udał się do swego dawnego współucznia, a serdeczne przyjęcie dowiodło Francuzowi, że książę pruski ma dobrą pamięć i dobre serce... Nie omieszkał też przedstawić go ojcu i pierwsze to spotkanie dało powód do zabawnej dość sceny, którą nie od rzeczy tu będzie zapisać.

Ale, aby zrozumieć dobrze znaczenie wyrazów króla pruskiego, które tu mamy powtórzyć, należy się słówko objaśnienia dla czytelników polskich. Często się to zdarza w Paryżu, że jakiś wyraz, jakies wyrażenie znajduje nagle wielką i powszechną wziętość u wszystkich i że wyszłe z ulicy, wchodzi do najświetniejszych salonów i służy jakby za klucz w pobieżnej rozmowie, chociaż często trudno nawet odgadnąć przyczynę znaczenia i początku takiego wyrazu albo wyrażenia. Jednym z takich wyrazów, bardzo popularnym za czasów ostatniego cesarstwa, dziś już wyszłym z mody, było: *à Chaillot*! Chcąc wyrazić pogardę, lub złą wolę ku czemu, dosyć było wyrzec symbolicznie: *à Chaillot*, aby rozmawiający rozumiał, że odsyła go się do diabła, mówiąc po polsku.

Otóż w dzień, kiedy wojna Prusom wypowiedzianą została w izbie francuzkiej, niezmierny i jakby szaleem ogarnięty tłum ludu cały ten wieczór i dnie następne przebiegał bulwary i ulice Paryża, przy okrzyku: „le roi de Prusse à Chaillot! na Chaillot z królem pruskim! To powiedziawszy, wróćmy do domu prefektury wersalskiej, gdzie mieszkał król pruski—bo pałac wersalski, z jego rozkazu, pozostał niezajętym—wróćmy w chwili gdy książę Fritz przedstawił ojcu p. d'Escayraca.

Po pierwszej zamianie kilku słów grzecznych, kiedy margrabia wyraził królowi swój żal głęboki, że wśród tak bolesnych okoliczności miał zaszczyt witać go na ojczyźstęj ziemi.

— Nie moja w tym wina, panie margrabio—powiedział Wilhelm.—Ci fanfaroni Paryżanie gardłowali dosyć: na Chaillot z królem pruskim! a więc idę na Chaillot i będę tam niechybnie!..

Dodać tu należy, że Chaillot, jest to jedno z dawniejszych, dziś już nie istniejących przedmieść Paryża, które się rozciągało pomiędzy polami Elizejskimi i Passy... Rzecz dziwna, może wypadkowa tylko, ale właśnie z tej strony Prusacy weszli do Paryża, w czasie kilkogodzinnego zajęcia przez nich tej części stolicy francuzkiej.

Inną razą król pruski, idąc na przechadzkę do parku, spotkał tegoż p. d'Escayraca. Zawsze uprzejmy, zawiązał z nim rozmowę, a przechodząc około pałacu, gdzie przez otwarte okna widać było żołnierzy zajętych czyszczeniem posiadzki—

— Patrz, panie margrabio—rzekł, wskazując na otwarte okna.—Cesarz Napoleon, wszedłszy do Berlina, pałac mojego brata zamienił na stajnię, a ja żołnierzom moim każę czyścić posiadzki pałacu, w którym sam nawet nie mieszkam.

Przejdźmy teraz na ulicę św. Anny. Tam, w skromnym dwupiętrowym domu, którego drugie piętro zajmował gospodarz, na pierwszym znajdziemy tego, któremu Niemcy nadali znakomite przezwisko „Żelaznego księcia.“ Wtenczas był on jeszcze tylko hrabią i, jak zwykle, skromny i niewymyślny, poprzestawał na pierwszym pięttrze porządnego, ale niewytwornego mieszkania. Tam się spisywały, sławne owe, a światu wiadome telegramy i depesze, tam się odbywały wszystkie główne konferencye z Thiers'em i Juliuszem

Favre'm—a późnym nieraz wieczorem przesuwali się tajemnicze cienie. Bóg tylko wie i kanclerz, jakie nazwisko jakiej się należy postaci; dla ogółu były to owe reptylia, o których często później mówiono. Tam też, na tém pierwszym pięttrze, ułożone zostały ostateczne warunki straszne-go pokoju.

Kiedy się tak rzeczy złożyły i kiedy otwarty został wolny przejazd dla wszystkich, wróciła też do męża i gospodyni domu, który miał szczęście posiadać osobę kanclerza. Ten, grzeczny i uprzejmy dla właścicieli, złożył natychmiast przybyłej wizycie i przez parę tygodni, które upłynęły do jego wyjazdu z Wersalu, pozostał z nimi w najlepszych stosunkach i harmonii. W wigilię wyjazdu kamerdyner Bismarcka złożył pokorną prośbę gospodyni domu, aby mu wskazała chwilę, w której zechce przyjąć kanclerza u siebie; ten bowiem życzył sobie złożyć jej swoje pożegnanie, przed opuszczeniem Wersalu.

— Proszę hrabiego, aby się nie raczył fatygować—odpowiedziała pani.—Sama w ten moment zejść na dół i służyć będą kanclerzowi.—I to mówiąc, zesłała wraz z kamerdynerem do apartamentu Bismarcka.

Po wielu a wielu podziękowaniach za gościnność łaskawie (!) mu udzieloną, kanclerz zakonkludował, że osobiście ma wielką prośbę do pani. Zadziwiona Francuzka oświadczyła wszelką gotowość ze swjej strony do uczynienia zadość żądaniu, ile to może być w jej mocy.

— Nie łatwiejszego dla pani—powiedział kanclerz.—Proszę panią tylko, abyś raczyła odstąpić mi ten oto zegar, stojący na kominie salonu.

Słyszac to, Francuzka przypomniawszy sobie szczególny i powszechny popęd Niemców do zegarów, co stał się powodem piosenki, której każda wrotka kończy się następnym dwuwiérsem:

Et dans la blonde Allemagne
C'est les pendules qu'on aime le plus...

Przypomniała to sobie, i uśmiech mimowolny przemknął się po jej ustach... Dojrzał go kanclerz i przybierając najpoważniejszą minę, dodał zimno:

— W tym salonie i o godzinie na której ten zegar zatrzymano, podpisany został traktat pokoju z Francją. Jest to dla mnie wielkiej wagi pamiątka, i jakakolwiek byłaby jego cena, gotowem ją zapłacić... lecz zegar ten jest mi niezbędny...

Na takie *dictum acerbum* nie można było innej dać odpowiedzi, jak złożyć sprzęt tak potrzebny u nóg prosiącego—co też nie omieszkała uczynić roztropna Francuzka z uśmiechem przymilenia.

Ale zagadałem się o dawnych wspomnieniach, a tu pociąg już czeka i czas nam w drogę. Pierwsza zaraz stacya (wy to nazywacie *dworzec*) po Wersalu, jest to miasteczko St. Cyr, co przypomina sławny zakład wychowania panien, dzieło pani Maintenon. Dziś, o zgrozo! jest to szkoła wojskowa, a dziwniejszym jeszcze zrządzeniem losu, dyrektorem tej szkoły jest generał de Gondrecourt, płodny bardzo powieściopisarz francuzki i znakomity literat. Tak się to sprawdzają stare słowa Wirgiliusza: „*Sic vos non vobis*.“

Wybiegając z St. Cyr'u, kolej żelazna rozszczepia się na dwie drogi; jedna na lewo, to wielka linia bretańska, przez Châtres, Le Mans, Rennes, prowadzi do portu Brest, albo jak Lelewel nazywał *Brześć*; druga na prawo, idzie do portu w Granville. To nasza droga, i w dziesięć minut pociąg wysadza nas w Villepreux... Pola szerokie płowieją zbożem, co się pochyła falami pod naciskiem wiatru. Wzgórza, doliny, niewielkie laski; kraj wesoły i skromny—jakby wieś polska. Dlatego może i nasz wieszcz się tu schronił. Droga szeroka, wygodna prowadzi od stacyi do miasteczka, wśród kwitnących łąk, a chociaż jest to z pół mili drogi, idziemy piechotą, unikając straszne-go omnibusa, gdzie człowiek zarazem jest jak kura w kojcu i jak groch na przetaku...

Zaledwie minęliśmy pierwsze dworki Villepreux, aż tu na prawo ukazuje się mur biały, szeroki, drewniane wrota stoją otworem jak w Polsce,

i widać przez nie skromny dziedziniec, bez wymyślnych gazonów, bez wyszukanego żwiru—poprostu porosły trawą, wśród której wydeptane ścieżki prowadzą samopas do domu. Starowina, bez pretensji do udawania „pałaców sterczących dumnie,“ wyrósł z ziemi niebardzo wysoko, o jednym piętrem z poddaszem, pokrył się dachówką, jakby wygodną, szlachecką czapką—bez krużganek, bez ganków—otwiera zaś okna na niewielki ogródek z kwiatami—a wszystko to poczciwie, skromnie, zupełnie jak u nas, jak gdyby chciał zmusić wymyślnego w tym względzie Bohdana, aby poprzestał na tej zagrodzie, obcej, ale spokojnej, i nie bąkał pod nosem swojego wiecznego: „U nas inaczej! inaczej! inaczej!“

„Ale czekajcie... nie śpieszmy się tak bardzo do domu; bo oto zaraz przyjdziecie na dziedziniec, na prawo, ogromna stara *lipa rosochata*, pod nią drewniana ławeczka, a na ławeczce pod lipą kochany gospodarz... Broda, którą śnieg tego przypruszył, spada na piersi do pasa i przypomina te piękne, malownicze postacie, które sam kiedyś w młode lata wyśpiwał i wymarzył. Lecz jeśli wiele, wiele siwizny w brodzie, zato ani włoska siwego w czuprynie, której włos miękki, cienki jak jedwab, oparł się siwiznie i swoim ciemnym namiotem stara się troskliwie zasłonić poczciwą łysinę... Łysina ta podwaja rozmiary i tak już wysokiego czoła i nadaje charakter niezmierniej powagi całej tej głowie, o silnych, wyrazistych, energicznych rysach. Siwe i łagodne oko głęboko się ukrywa pod szeroką, napuszoną i napuszczoną brwią poety. Wzrok zawsze miał słaby, więc klasyczne okulary nie opuszczają nosa, który jest silnie zarysowany—nos prawdziwie słowiański. Bohdan nie nosi wąsów, nie więc nie osłania ust, co według Balzaca, wymowniej nawet niż oczy, daje świadectwo o prawdziwym charakterze człowieka. Tutaj usta, silnie zaciśnięte zwykle, znamionują charakter wytrwały, niezachwiany na raz obranej drodze. Uśmiech tych ust szczery, otwarty, bez pochlebstwa i mizdrzenia się żadnego, chociaż Bohdan, szczególnie teraz, rzadko się śmieje... Średniego wzrostu, szczupły, ale silnej, kościstej budowy—jest to prawdziwy dąb z ukraińskiej dąbrowy, co wieki przeżyje i przetrwa burzel...“

Takim go zastaliśmy pod lipą w Villepreux. W czarnej czamarze, zamyślony, patrzył łagodnym okiem na igrającą tuż przed nim malutką, rumianą, rzeźwą, jak anioł piękną dziewczynkę—to wnuczka poety!... Jest to malutka, drobna lato-rośl polskiego szczepu. Z twarzy, z figlarniej minki, z dużych błękitnych oczu, przypominała mi matkę, którą niegdyś, malutką jak ona, pamiętałem w Fontainebleau. Ej czasy... *fugaces labuntur anni!* W ostatnich latach biedny Bohdan ciężkie i niepowrotne poniósł straty. Ostatnią z nich, najboleśniejszą, była strata córki. Młodość, starania (mąż jest lekarzem), miłość serdeczna—nie zatrzymać nie mogło uciekającej nici żywota. Poszła do Boga... Poszła tą drogą i druga ukochana istota, siostra po sercu, po duchu wieszczym, najlepsza, najwierniejsza przyjaciółka, pani Dyoniza Poniatowska, Ukrainka z nad Bohu, z nad Rosi, którą poeta tyle razy w tylu serdecznych wierszach opiewał. Do niej—to jest owo posłanie: „Czarnobrowko, rajskie ptaszko!“

Zesmutniał więc Bohdan... rzadko już kiedy bierze gęśl do ręki, a jeśli się uśmiecha, jak sam gdzieś powiada w swoich dumach i dumkach, „to jak za pokutę“ a jeśli śpiewa, „to na smutną notę.“

Przywitał nas uprzejmie, jak zwykle, jak zawsze; znaleźliśmy się znowu jakby u siebie w domu. Dwóch synów dorosłych: piękna, raźna młodzież. Jeden jest adwokatem w trybunale w Paryżu. Zięć, doktor Okinszyc, ojciec malutkiej dziewczynki, zacny i miły człowiek. Rozmowa więc wytoczyła się, jak dobre wino z beczki, bez przymusu, bez namysłu, poczciwie, serdecznie. Bohdan nigdy, ile go pamiętam, nie był wielomówny; jedno co go porusza i ożywia, są to wspomnienia z przeszłości. Niesłychana pamięć... a kiedy dotknie się przedmiotu albo osoby, na które go sprowadzi wspomnienie, wówczas cały wdzięk,

cały blask, którym jaśnieją jego poezje, rozwija się w słowie przyspieszonym, co jakby gorący rumak, rwie się do biegu i szamoce. Głos jego jest przyjemny i ma brzmienie poważne, to co Francuzi nazywają *le son grave*.

W domu schludno i czysto, jakby w gniazdku słowika. W saloniku, gdzie wiele okien, wiele światła i życia, w pokoju jadalnym, za gościnnym stołem. znajduje się niejeden smaczny półmisek i butelczyna tego *bonum vinum*, które muby i proboszcz wieloński nie odmówił czystej łaciny. Słyszałem niegdys dykteryjkę następną o tym proboszczu, co uchodził za wielkiego znawcę i klasycznej łaciny, i klasycznej butelki. Zaproszony na chrzciny w sąsiedztwo, gdy gospodarz naprzód przechwalał się ze swą piwnicą—po wypróżnieniu pierwszego kieliszka, zapytany jak mu się to wino podoba—*bonus vinus*, odpowiedział poważnie—i tak powtarzał po każdej nowej butelce. Aż gdy podano na stół jakąś zapruszoną, zczerniałą butelkę i nalano kieliszki—proboszcz powoli, z uwagą wycodził bursztynowego węgrzyna, a zapytany znowu o zdanie—*bonum vinum*—powiedział z uśmiechem tą razą.—*Że też waś, mości księżo, zauważył gospodarz, teraz dopiero wpadłeś na dobrą łacinę.*—Nie panie, odpowiedział skromnie ksiądz, lecz *sicut vinum, item latinum*.

Każda moja podróż, lepiej powiedziéć pielgrzymka do Villepreux, jest jakby nowym zbudzeniem się ducha. Tyleśmy czasu przeżyli z Bohdanem, chociaż on starszy odemnie, tyleśmy znali ludzi, na tyle i tak dziwnych wypadków patrzyliśmy obydwa—że nasze rozmowy, to prawdziwie *silva rerum*, niewyczerpane nigdy. Słucham wówczas Bohdana i widzę, jak przypominając dawne, minione czasy, młodym ożywia się zapalem i zdaje się niekiedy, że z ust szanownego wieszca spłynie jedna z tych pieśni, co jakby ocalałe ze zniszczenia ptaszę owęj arcy-kunsztownej, wytwornej Hellady, uciekło na nasze słowiańskie pola, do naszych słowiańskich lasów—i dawne, piękne swe piórka złoci nanowo w promieniach naszego słońca i naszymi dźwiękami dawny grecki rytm swój kwili.

Słuchając go, myślę nieraz: komuż to się dostanie ta gęśl po wieszczym Bohdanie? i nie widzę tych poświęconych rąk, któreby mogły przyjąć ją sprawiedliwie i godnie. Któż potrafi, jak on, podsłuchać to, co w naszej mowie, twardej napozór, a tak pełnej ściągających się z sobą co chwila spółgłosek—jest niezrównanej słodyczy i miękkości słowa? Ilekroć mi się zdarza mówić o naszym języku z cudzoziemcami, dla których ten brak samogłosek rozdzielnych jest bardziej dotkliwy niż dla nas—ilekroć słyszę ich skargi na niepokonaną trudność wymawiania polskiego—tyle razy powtarzam im tę pierwszą wrotkę jednej z najpięrszych pieśni Bohdana:

Świeć się, świeć się, wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości, i swobody!

Słuchając tej pieśni, co sama za się śpiewa—nie wierzą mi niewierni i powiadają że to nie polskie, ale z Anakreonta wykradzione wiersze.

A teraz, czytelnicy moi—jeśli los was zaprowadzi kiedy aż tutaj... słyszeliście com wam opowiedział... wiecie jaką drogą dostać się można do Villepreux—idźcie więc, idźcie na tę pielgrzymkę, a zobaczycie, że moje biedne pióro ani dotknęło nawet tego, co jest ideałem prawości, zacności i prawdziwego, poetycznego polskiego poczucia.

NA ROZDROŻU.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez
Deotymę.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg).

— Wtedy niepoczciwy syn wystąpił ze sce-

na niegodną... weale nie synowską. Wymawiał ojcu że już raz mu bogatą żonę zdmuchnął i dla siebie zabrał, a teraz nie umie czy nie chce drugiej mu naraić. Że już mu trzydzieści lat minęło, uchodzi za bogatego, a z łaski ojca nigdy nie ma grosza przy duszy. Tamten słuchał, słuchał, aż nagle zaczął piorunować z całej wysokości obrażonego ojcostwa. Obaj krzyczeli, że ażeśmy się trzęsły ze strachu. W końcu ojciec kazał mu wyjść za drzwi i nigdy się na oczy nie pokazać. Alfred wyszedł blady, jak trup. Pobiegłam do męża, chcąc go ukoić i ubłagać; nigdy nie lubiłam Alfreda, ale teraz bałam się, aby nie sądzono że różnię ojca z synem. Nie dał mi trzech słów powiedziéć. Zaczął i na mnie krzyczeć: „Ja wiem że wy wszyscy przeciw mnie trzymacie. Chcielibyście widziéć mię już pod ziemią.“ Zamilkłam, rozżalona niesłusnością wyrzutu, bo nigdy może dla tego człowieka nie miałam więcej współczucia, jak widząc go zranionym w najczulszej stronie serca. Już się oddalałam, kiedy odwołał mię łagodnie: „Irenciu, nie odchodź, jakoś mi niedobrze.“ Nim do niego doszłam, upadł. rażony apopleksją. Twarz prawie zczerniała. Felczer domowy zaraz mu krew puścił, co uratowało życie, ale tylko na kilka tygodni, ach, i jakie życie! Przez pół ciała został paraliż, mowa odjęta. Po kilku dniach jednak zaczął znowu mówić i dużo, ale niewyraźnie. Rzadko już kogo poznawał. Ja jedna mogłam nieco rozumiéć ten jego nieustanny monolog, nie wiedziéć nad czém utyskujący, nie wiedziéć czego żądający. Wprawiam się w pochwytywanie wyrazów; z początku sądziłam że to czysto chorobliwe majaczenie; zwolna jednak zaczęłam w tym chaosie dostrzegać powtarzające się ciągle zwroty i obrazy, które mię wprowadziły na drogę niespodziewanych podejrzeń. Często podrywał się, wołając: „Za co mię sądzicie? Za co mię skarżycie? Przecież nie zfałszowałam ani jednej litery?“ Jednego wieczora zupełnie był nieprzytomny, ale gorączkowo ożywiony; mimo ciepłej pory, kazał wielki ogień rozpalic na kominku i wołał aby mu przynosić listy. Przynosiliśmy wszystkie jakie się znaleźć dały. On wszystkie odrzucał, niecierpliwie się rozpaczliwie. Zrozumiałam nakoniec z jego mowy, że chodzi o te moje listy, które pan Tytus mi odsyłał. Pobiegłam i wzięłam niektóre, ale nie wszystkie; tknięta jakimś przecuciem, zostawiłam kilka. Przyniesione, Ryszard pochwycił skwapliwie i nie rachując, wrzucił w ogień. Potem zaczął wołać: „A tamte?“ Wszyscyśmy się pytali: Które tamte? A on powtarzał: „Tamte, co są u tamtego!“ Nie nie mówiłam, ale dziwne myśli mię opanowały... Po dziewięciu latach poddana się nieszczęściu, zaczynałam pytać czy to nieszczęście nie było sztucznie zbudowane? W domu naszym panował popłoch nie do opisania. Alfred tułał się jak widmo po bocznych pokojach, czekał u progu, ale próżno. Prosiłyśmy za nim wielokrotnie... ojciec do końca nie przebaczył. Nastął dzień w którym uczuł się zupełnie przytomnym i tak wyraźnie zdrowym, że cały dom zaczął drżeć na nowo. Ryszard posłał coprędzej po prawnika, zamknął się z nim na godzinę i spisali testament. Wieczorem, kiedy wszłam do niego, zdaje mi się że mię nie poznał. Chcąc korzystać jednak z ostatnich błysków jego przytomności, zapytałam czyby dla pociechy nie chciał widziéć księdza proboszcza, który czekał w drugim pokoju? Słowa moje przerażyły chorego. Zawołał: „Nie chcę! Nie chcę księdza! Jeszczeby kazał wyznac, naprawić, pokutować. Ja to wszystko zrobię kiedyś, ale nie teraz. Ja jeszcze wyzdrowieję. Jutro mi będzie lepiej.“—Kiedy przyszło jutro, już nie żył.

Znów nastąpiło milczenie. Wiesław spoglądał ze wzruszeniem to na panią Irenę, to na wuja. Uczuł się mały wobec tej wypróbowanej pary. Czémże była jego kilkodniowa rozpacz, wobec ich dziesięcioletniej męki? A jednak i on cierpiał. Rana drobna, ale świeżo otwarta, więcej nieraz dolega, niżeli największa, dawno zagojona.

— Mąż pani—odezwał się pan Tytus—musiał zostawić niebardzo załosne wspomnienie?

— Ach, niech Bóg broní, aby które z nas mia-

to zostawić podobne. Służba, ludność wiejska, rozpromieniły się jakby, odrodzone. A Cesia? Ta pierwszy raz od dzieciństwa zakwitła i spojrzała na świat Boży jasno. Ja sama uczułam się jak osoba żywcem zamurowana, którą na czas odkopują, w chwili kiedy już, już sił i tchu jęj brakuje. Musiałyśmy unikać ludzi, ażeby nie dostrzegli naszych nieprzyzwoitych wrażeń. Im mniej czułam smutku, tém sumienniej postanowiłam dochować żaloby i wszystkich zewnętrznych oznak żalu. W testamentach z niemalém podziwieniem znalazłam znaczne zapisy dla siebie i córki. Nieboszczyk nam dawał, a synowi ujmował, ile tylko mógł bez nadwężenia prawa. Postarałam się do pewnego stopnia nagrodzić Alfredowi ten uszczerbek; wiedząc że głównie potrzebuje gotówki, pokupowałam od niego na wagę złota konie i niektóre sprzęty. Jak tylko się skończyły obrzędy i konieczne formalności, uciekłyśmy ze Złotopola. Ach, w Warszawie odetchnęłam. Tu same słodkie i wesołe wspomnienia. Długo nie mogłyśmy uwierzyć, że już nie cięży nad nami żadna ręka tyrańska; tygodnie upłynęły, zanim ośmieliliśmy się głośno rozmawiać. Pierwszą myślą moją było odnaléć pana Tytusa i sprawdzić szczegóły naszego rozłączenia, bo teraz niczemu już nie dowierzałam. Przez długie lata wyrobiło się we mnie straszne, ale już uspokojone przekonanie, że mię przestano kochać, a może i nigdy nie kochano. Wszystko mię utwierdzało w tój pewności, nietylko zwrot moich listów, ale mnóstwo dalszych pozorów. Niezadługo po ślubie, mój mąż przeczytał mi tryumfalnie list, jaki pan do niego pisał, list okropny, pełen rozpacz po Romanie, błagający o jęj zwłoki, a dla mnie napiętnowany największą obelgą, bo takim zapomnieniem, jakby mię na świecie nie było. Później Alfred za każdym przyjazdem bawił nas opowiadaniem, w których, przypadkiem czy umyślnie, zawsze odnajdywały się wszelkie wiadomości, jakie tylko mogły być najboleśniejsze dla mnie; wiedziałam że pan Tytus się wybornie bawi, że interesami gorączkowo zajęty, że w najlepsze głowy zawraca, a o dawnych znajomych ani wspomni... I mnie nie pozostawało, jak zamknąć się w najwyższej godności milczenia. Aż oto kilka słów zdradzonych przez malignę kładzie na tém wszystkiém nowy znak zapytania. Jaka to łaska Pana Boga że mię ostrzegł, i to przez własne usta Ryszarda! Bez tój przestrogi nie byłabym już nigdy szukała z panem spotkania; pan także, śmiertelnie obrażony, byłbyś do śmierci odemnie stronił. Tu więc przyjechawszy, zaczęłam się na wszystkie strony podpytywać. Długo spotykały mnie same zawody. Nietylko że pana nie znalazłam w Warszawie, ale nikt nie umiał mi powiedzieć napewno, gdzie pan się znajdujesz.

— Byłem poprostu na wsi.

— A teraz możecie sobie panowie wystawić, jakie było nasze wrażenie, kiedyśmy się dowiedziały że nowy nasz znajomy, pan Rózyca, jest rodzonym pana siostrzeńcem.

— Zauważyłem to niesłychane wrażenie. Teraz się już nad niem nie dziwię.

— Odtąd nie wąpiliłyśmy, że samo niebo przysłała nam pana Wiesława. Wszystko téż zdawało się na dobre składać. Nazajutrz pan Tytus przyjeżdża, spotykamy się w Alejach. Ach to spotkanie! Ja na nie liczyłam, jak na hasło zbawienia. Krążyłam umyślnie przy Dolinie szwajcarskiej, w nadziei że i panowie tam wysiądziecie. Istotnie, zjawia się mój pan Tytus... pierwszy raz go widzę od tamtęj rozmowy... mimo wszelkich uraz mało mi się serce nie rozplynie—i cóż? Rozchodzimy się jeszcze nieprzyjaźniejsi, niż dawniej.

— Cóżście sobie państwo takiego powiedzieli?

— Mój Wiesławie, jakże ja mogłem zrozumieć? Pani Irena powiada:—„Panie Odoniezu, serce kobiety wiele może przebaczyć; wyjaśnijmy raz naszą przeszłość, wytłumaczmy sobie owo odsyłanie listów.“ Ja myślałem że mówi o moich listach, o tych co mnie były odsyłane, i oburzony że ona jeszcze może obiecywać przebaczenie, kiedy powinna sama o nie prosić, postawiłem się dosyć twardo.

— Ach, i jak! Pan powiedział mi z gorzkim

lekceważeniem: „O pani, to rzeczy dawno zapomniane; niewarto ich nawet tłumaczyć.“ I odeszedłeś, zostawiając mię wpół martwą. Jeden tylko wyraz jeszcze mię pocieszał: obiecałeś nas odwiedzić. Czułam po twoim głosie, że to czeza obiecanka, jednak jęj się czepiłam z uporczywością nadziei. Cały piątek zszedł na oczekiwaniu. Ten dzień był dla mnie jakby rok. W sobotę odważyłam się na ostatnią próbę: posłałam list... aż się rumieniłam samą siebie... raz jeszcze list! Odesłałeś go pan w drugięj kopercie. Ten postępek, zestawiony z dawniejszemi, wywrócił cały gmach moich domysłów i marzeń. Upokorzona do żywego, utwierdzona w piérwszém przekonaniu, postanowiłam nigdy już do pana kroku nie uczynić, a kiedy Cesia błagała mię abym jęj pozwoliła na swoją rękę działać, zabroniłam surowo. Ale dziecko się uparło... i dobrze zrobiło.

— Panna Cecylia — rzekł Wiesław—dowiedła rzeczywiście niezmiernęj... nie wiem jak powiedzieć? śmiałości, czy odwagi, bo działała nietylko przeciw pani woli, ale bez pani wiedzy.

— Zkąd-że pan przypuszcza że bez mojęj wiedzy? zapytała matka z żywością.

— O pani, ja wiem wiele... a jednak może niedość wiele, aby mieć sąd jasny. Panna Cecylia sądziła się otoczona zupełną tajemnicą, tymczasem przypadek uczynił mnie kilka razy świadkiem rzeczy dziwnych... i to szczęście że mnie a nie innego... kto inny byłby sobie może źle wytłumaczył niektóre pozory.

— I cóż widziałeś tak straszego?—zapytał, śmiejąc się, pan Tytus.

— No... na przykład panna Cecylia była samiućka w odwiedzinach u wuja.

Pani Irena zmieszała się i zatroskała.

— Istotnie — rzekła—Cesia troszkę nieprzeznacznie prowadziła do przedsięwzięcia. Słyszając późnięj szczegóły przez nią samą opowiadane, zadrdzałam wielokrotnie... ale cóż pan chcesz? Nie mnie ją strofować, kiedy wszystko czyniła z popędu najczystszej miłości dziecięcęj. Wiele téż trzeba położyć na karb nieznamośności świata. Zkąd-że go ma znać, przesiadawszy całą młodość na zaklętej pustyni? Ta to nieświadomość właśnie dała jęj ślepą odwagę i pozwoliła cel osiągnąć.

— Kiedy jednak — wtrącił pan Tytus—Wiesław mówi że już wie dużo, a jeszcze niedosyć aby mieć sąd jasny, będzie może najlepší, gdy się dowie wszystkiego. Niech panna Cecylia sama opowie nam swoją Odyseję.

— Słuszna rada—odrzekła matka.—Naiwność jęj opowiadania będzie najlepszym świadectwem niewinności jęj serca.

I wstając, dodała:—Pocziwe dziecko, przez delikatność usunęło się od naszęj rozmowy. Czuję że matce byłoby trudno w obecności córki tykać niektórych ustępów swego życia. Ale teraz już na nią kolej.

Uchyliwszy drzwi, zawołała:—Cesiu! Cesiu! Gdzież tak długo bawisz?

Cesia wbiegła zarumieniona, z błyszczącemi oczami. Wiesław chciał jęj ustąpić krzesła obok pani Ireny, ale nim zdążył, uwinęła się i siadła u stóp matki, na haftowanym podnóżku. (Dostrzegł wtedy że podnóżek już jest ukończony).

— Chciałbym wiedzieć — zapytał—jakich pani cudownych środków użyłaś, aby nawrócić mego wuja? Bo przecież matka pani próbowała na próżno. Ja rozwinąłem asilowania ludzkie i nadludzkie... gdzie tam! Słowa moje padały jak na skałę. Pani się tylko pokazała i cud dokonany.

— O, przepraszam pana, wcale niedość było się pokazać. Wuj pański jest najupartszym, najbardziej nieużytem człowiekiem na kuli ziemskiej. Wszystkich zwyciężał, jak Rossya Napoleona, cofając się. Kiedy ten list odesłał, kiedy mamę widziałam tak chorą i zgryzioną, wziął mię do niego żal śmiertelny. Idę do mamy i powiadam: Ja go muszę przekonać, ja mu oczy otworzę. Mama nie chce wierzyć, ani pozwolić. Błagam, zaklinam, nie i nie! Wtedy, w rozpacz, postanawiam sama wszystko zrobić. Może to źle? Widać jednak że nie, kiedy Pan Bóg pobłogosławił. Przepraszam najdroższą mamunię—wołała, całując

jąc kolana matki—powiem jak małe dzieci: „Już nigdy nie będę...“ ale na ten raz musiałam... cel uświęca środki.

— O! moje dziecko, z tą jezuicką maksymą daleko można zajechać.

— Prawda, mamó, ale na ten jeden raz! Przecież nie trafia się codziennie szczęście drogich osób do ratowania. Otóż, dowiedziawszy się przez pana Rózyca, że jego wuj zostaje na ślub panny Moszkowickięj, powiedziałam sobie: I ja tam pojadę. Było to niełatwo, a nawet przykro, wybiierać się na zabawę, kiedy matka niezdrowa i smutna. Musiała się mamunia bardzo dziwić, zkąd mi tak nagle ochota przyszła.

— Wszystko przypuszczałam, prócz myśli że idziesz tam szukać pana Tytusa, bo mi nie powiedziałeś, filutko, że został na wesele.

— Jeszcze téż miałam mówić! Znaczyłoby to zepsuć siurpryzę. Więc tedy stroję się, jadę, widzę nakoniec tego pana Tytusa, którego ledwie jak przez mgłę pamiętałam. Powtarzam sobie: Teraz mu wszystko powiem. Ale jakże to zrobić? Przy stole, w natłoku, ani sposób. Po obiedzie ucieka mi do drugiego pokoju. Ja za nim. Zaczepiam go prosto z mostu: Chciałabym panu powierzyć wielką tajemnicę... Ale jeszcze tych słów nie dokończyłam, kiedy pan Tytus dobywa zegarek, bierze za kapelusz i mówi: „Przepraszam panią, po milion razy przepraszam, ale w tój chwili nie mogę pozwolić sobie przyjemności dłuższęj rozmowy... Inną razą, jak tylko pani każe, będę jęj służył, tylko dziś niepodobna... O tój godzinie właśnie ktoś na mnie czeka z ważnym interesem.“

Muszę przyznać, panie Odoniezu, że kiedy chcesz być zimnym, jesteś co się nazywa straszonym. Stałęm jakby kto górę lodu na mnie zwałił. Gdzie i kiedy odnaléć drugą sposobność spotkania się z panem? Pomieszana, wpadłam na pomysł, który mi się wydał genialnym, a był, jak widzę, troszkę śmieszny. Sądziłam że naznaczając panu *rendez-vous* tajemnicze, ogromnie pana zaciekawię i jak ptaszka złapię w sidło. Naznaczyłam więc panu owę schadzkę w ogrodzie, a chcąc uspokoić pańskie domysły i zwrócić je tylko na moję osobę, dodałam że mama nie o tém wszystkiém nie wie. Pan Odonicz odpowiedział ukłonem. Jego milczenie zdziwiło mnie, ukłon jednak mógł także znaczyć: Stawię się. Już téż i nie było czasu się cofać, zniknęłaś pan jakby kamfora, a ja zostałam, wzburzona i niezadowolona z samęj siebie. Czułam że się zapędzam na drogę ślizką, nie w oczach sumienia, ale w oczach rozsądku. Wróciwszy do domu, sto razy już chciałam rzucić się mamie do nógi wszystko powiedzieć; ale zawsze mię wstrzymywała uwaga, że tak daleko zabrnąwszy, trzeba przynajmniej dopiąć celu. Mówiłam w duszy: Niech sobie pan Tytus co chce do jutra o mnie myśli, niech tylko tam przyjdzie, a wszystkiego się dowie. Całą noc jednak nie spałam, całe rano przemęczyłam się, jakbym rzeczywiście była winna. Po południu jadę z pocziwą Scholasią, którą musiałam troszkę przypuścić do sekretu. Ach, jakaż mię w tym ogrodzie miała spotkać konfuzyja! Mój oczekiwany nie przyszedł, a przyszli wcale nie czekani. Panie Rózycu, czy pan się tam znalazłeś przypadkiem?

— Proszę pani, długoby o tém mówić... Kiedyś może opowiem ten zbieg okoliczności... Dziś chciałbym tylko panią słuchać. Więc wuj wcale nie przyszedł?

— Ma się rozumieć że się ani pokazałem. Przecież nie byłem dosyć dobrodusznym, aby uwierzyć w *rendez-vous* dla moich pięknych oczów. Zmiarkowałem odrazu że to podstęp, i to bardzo przezroczyły, a jeśli panna Cecylia sądziła mię tak chciwym na tajemne schadzki, to tylko dowód jak mało zna ludzi, co długo w świecie żyli i wszystkiém są przesyceni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Milton i Cromwell,

przez Alfreda Sterna.

(Dalszy ciąg.)

Z młodzieńczym zapałem i śmiałością, nie z myślą o nagrodzie, służył Milton swym piórem sprawie ludu i wolności, dorównywając płodnością i talentem najznakomitszym publicystom. Gorliwość jego zwróciła nareszcie uwagę ogółu. Wkrótce po ogłoszeniu rzeczypospolitej, w marcu 1649, ofiarowała mu ówczesna Rada państwa urząd sekretarza do obcych języków. W dyplomatycznych stosunkach z innymi narodami, łacina stanowiła wówczas powszechnie używany język, a nikt niezawodnie podówczas w Anglii nie umiał lepiej od Milтона władać tą mową. Nie wahał się on ani na chwilę z przyjęciem propozycji, choć wiedział iż z tym urzędem łączyło się wiele czysto mechanicznych czynności. „Choćby to był najniższy rodzaj służby, powiada sam, jakiej Bóg odemnie wymaga, hańba mi jeżelibym nie poszedł za Jego wolą.“ Po zatwierdzeniu na tej nowej posadzie, przeniósł się zaraz ze swego skromnego mieszkania do Whitehallu, ażeby się znajdować bliżej Rady, w której największe znaczenie i wpływ posiadał Oliver Cromwell.

Jakże odmiennymi drogami szło życie tego człowieka! Pochodząc ze starej walijskiej rodziny, która z dumą wyprowadzała się od Tomasza Cromwella („młota na mnichów“), potężnego ministra Henryka VIII, otrzymał on w Cambridge i Londynie niezbyt gruntowne akademicko-jurystyczne wykształcenie, jakie odbierała zwykle młodzież wiejska (gentry) jego stanu. Mgła niewiadomości osłania wiek młodzieńczy Cromwella, dając szerokie pole baśniom, przez przyjazne lub nienawistne mu stronnictwa tworzonym. Wiemy tyle tylko, że ten burzliwy duch wśród gwałtownych walk uległ przemianie wewnętrznej, która na resztę życia stanowiąc nadała kierunek jego myślowi i czynom. Wierzący, poważny purytanin, któremu system dogmatyczny był obojętnym, lecz który tym silniej został przeniknięty przeświadczeniem, że jest wybranym narzędziem w ręku Boga, religijny zapaleniec — oto główne zarysy, jakie przybrał charakter Cromwella w tej przemianie. Kto nie stara się widzieć w jego przemianach pogardy godnej, obłudnej gadaniny, w obyczajach przejrzytej maski wyrachowanej polityki, ten w poufnych listach Cromwella, pisywanych do krewnych i przyjaciół, znajdzie najprawdziwsze wylanie się uczuć tego człowieka, świadczące wprost przeciw podobnym sądom. Jakim się w tych listach okazuje — energicznym i ogłędnym, praktycznie rozumnym i mistykiem zarazem, takim go widzimy i w kole rodzinnym, w gronie współziemian, od początku nienawistnym kościelnemu i państwowemu despotyzmowi Karola I. Na burzliwych posiedzeniach ostatniego parlamentu, po którym nastąpiło jedenastoletnie zawieszenie rządów parlamentarnych, zabierał już głos kilkakrotnie. Dom jego odtąd stał otworem dla prześladowanego duchowieństwa, a królewska samowola spotykała w nim energicznego oponenta. To też spoznajemy barczystą postać Cromwella w szeregu przedstawicieli narodu, których król po długiej przerwie zwołał nareszcie pod naciskiem okoliczności.

Nie na tym polu jednak oczekiwały go najwyższe zaszczyty. Dopiero z chwilą gdy oręż zastąpił miejsce słowa, zwrócił Cromwell na siebie wszystkich oczy. Czuł on że przeciw legalnej rycerskości wyprowadzić należy do boju inny, idealny żywioł. „Pragnę zgromadzić mężów — odezwał się do swego stryja Johna Hampdena — którzy boją się Bożego żywiołu w swych sercach i idą za głosem sumienia,

a tacy, zapewniam was, nie będą nigdy pokonani.“ Tej myśli trzymał się we wszystkich swych działaniach. Z klasy drobnych posiadaczy werbował przeważnie wojowników do swych żelaznych zastępów, które ujawniły w kleszcze najsurowszej karności i natchnawszy religijnym zapałem, prowadził do niechybnego zwycięstwa. Jemu to jedynie zawdzięczano świetne rezultaty boju, on przytępną swą potężną osobistością wywierał wpływ niezwalczony. Zwycięstwa pod Marston Moor, Naseby i Preston odniesione, uczyniły Cromwella oswoobodzicielem i zbawcą kraju. Wojsko „świętych“ było potężnym narzędziem w jego ręku, podzielał bowiem tak dalece uczucia swych towarzyszy, że poświęcił im nawet króla.

Z nastaniem rzeczypospolitej wzniosła się jeszcze wyżej gwiazda i ambicja Cromwella. Ramię jego było dość silnym, by uśmierzyć Irlandyę, Szkocyę do posłuszeństwa przyprowadzić i prezydentem, Karola II, wypędzić. Gdy wreszcie potęgą militarną, doprowadzona przez do wysokiego znaczenia, przyszła do nieuniknionego starcia z władzą cywilną, rozpedził parlament, który chciał się ogłosić nieustającym, zgromadził nowy, wyłącznie ze „świętych“ złożony, rozwiązał go następnie, skoro chciał samoistnie wydawać decyzje, a wreszcie kazał sobie ofiarować godność protektora, obrońcy rzeczypospolitej. Stopniowo Cromwell stał się jedynowładcą, a monarchiczna idea wcisnęła się, w nowej tylko formie, do konstytucji krajowej.

Tym sposobem w murach starego królewskiego pałacu w Whitehall spotkali się mąż słowa z mężem czynu: Milton z Cromwellem, dwie ściśle w sobie zamknięte osobowości, dwaj mistrze w swoich zakresach, wzniesieni przez fale burzliwej epoki, ażeby tej samej służyć sprawie.

Związek między poetą a mężem stanu wydaje się sam w sobie nienaturalnym, zanadto bowiem różnią się między sobą sfery ich działalności. Żyją oni w dwóch różnych światach: w świecie wyobraźni i świecie rzeczywistości. Pierwszy w złotych chwilach natchnienia, gdy z nadpowietrznych marzeń tworzy gmach piękna, wznosi się ponad błoto ziemskie; drugi nie może uniknąć splamienia rąk swych nieczystą zaprawą, której niejednokrotnie do budowy swęj używa. Pierwszy w idealnym polocie sypie po nieskończoności czasów i przestrzeni; drugi obrachowuje realistycznie każdą minutę i każdy krok. Jak poecie grozi niebezpieczeństwo zapomnienia o życiu dla abstrakcyjnych idei, lub o środkach dla celu, tak praktykowi znowu łatwo zgubić się w szczegółach i wykrzywić wielką ideę przez drobiazgowość względów. Wszelako od epoki proroków izraelskich nieraz już poeta z politykiem łączyli się w jednej osobie; śpiewak Boskiej komedii daje nam tego przykład. W nowszych czasach Lamartine usiłował, choć bezskutecznie, walczyć z falami rewolucji (1). Jednakże po ścisłym rozważeniu przekonujemy się, iż najczęściej w takich naturach albo poeta politykowi, albo polityk poecie musi zostać poświęconym. Przy potężnej przewadze osobowości i stanowiska Olivera Cromwella, to ostatnie przypuszczenie stawało się niemożliwym; ponieważ jednak i pierwsze się nie ziściło, gdyż każdy z nich przechował w całej pełni i czystości swą indywidualność, a przytępną zawsze dochodzili do porozumienia się w głównych punktach — przeto związek ten przybiera w oczach potomności charakter wysoko szlachetnego i podniosłego faktu.

Żałować należy iż tak mało posiadamy wiado-

(1) Nasza literatura obfituje, więcej niż którakolwiek inna, w przykłady tego rodzaju: Andrzej Morsztyn, Opaliński, Naruszewicz, obok wielu innych, przedstawiają takie połączenie dwóch napozór sprzecznych sfer działania i wyobrażeń.

(Przyp. tłum.)

mości o bliższych osobistych stosunkach obu mężów. W pierwszych czasach rzeczypospolitej związek ten nie mógł się jeszcze tak ściśle ustalić. Była to chwila, gdy Milton swymi polemicznymi pismami, na zlecenie Rady państwa układanemi, zjednał sobie europejską sławę. Walczył tu on ze stronnikami królewskimi, którzy starali się szerzyć „sentymentalne ubóstwienie“ dla króla-męczennika i występował w obronie praw ludu angielskiego. Cromwell jednakże był wówczas prawie ciągle nieobecny, jako zajęty uśmierzaniem powstania irlandzkiego i szkockiego. Dopiero gdy za powrotem coraz więcej władzy zaczął skupiać w swoich rękach, mogli obaj mężowie wejść w bliższe stosunki. Fantazyja artysty może sobie wystawić, jak protektor, wsparty na mieczu, w towarzystwie swęj żony i dzieci, przysłuchuje się Miltonowi, grającemu na organach; historia jednak nie o tym nie wie. Nie należy przytępną zapominać o różnicy społecznej, która w Anglii, nawet w epoce rzeczypospolitej, znaczenie swe utrzymywała. Cromwell był przecie potężnym władcą wielkobrytańskiego państwa, mężem na którego skinienie trony się chwiała i królowie drżeli, którego słowo rozkazywało na obszernych ziemiach i oceanach, o którego względy ubiegały się państwa stałego ładu. Milton tymczasem był i pozostał prostym sekretarzem w służbie protektora, zajmując się na tym skromnym stanowisku układaniem sprawozdań, wykonywaniem przekładów i wyciągów, przygotowaniem pasportów i pism uwierzytelniających, a rzadko bardzo trafiało mu się użyć pióra do skręślenia jakiego ważniejszego państwowego aktu, lub retorycznego popisu, odpowiedniego jego zdolnościom i nauce.

Posiadamy wszakże kilka świadectw, objaśniających nam wzajemny stosunek obu mężów. Śród najburzliwszych dni znajdował jednak Milton dość czasu wolnego do skręślenia całego szeregu sonetów. Między innymi znajdują się tu charakterystyki głośniejszych mężów współczesnych z obozu republikańskiego. Obok wodza Tomasza Fairfaxa i myśliciela Henryka Vane, spotykamy tam i Olivera Cromwella. Sonet noszący jego imię na tytule, datowany jest w maju 1662 r., a więc z czasu, gdy Cromwell jeszcze nie przybrał tytułu protektora. Poeta odzywa się do wojownika: „Cromwellu, ty nasz zwierzchniku, który, przedarłszy się przez zamęty burzy i rzezie bitew, wiedziony silną wiarą, wywalczyłeś nam dzielnością swego serca pokój i prawdę — sławę — sławę twą głoszą szleszczące fale Darwenu i wszystko dokoła brzmi twoją chwałą.“ Walka jednakże nie została jeszcze skończoną. „O pomóż nam — woła Milton — uratować wolność sumienia, gdyż nowy nieprzyjaciel chce nasze dusze ujarzmić.“

Nowemu temu nieprzyjacielowi daje Milton niezbyt uprzejme, lecz ulubione sobie przezwisko: „najemne wilki.“ Są to presbiterjańscy duchowni, najemnicy państwa, którzy na to zrzucili jarzmo biskupiego kościoła, ażeby wziąć na siebie jarzmo kościoła państwowego, którzy pozostali przy zyskownych beneficjach i pensjach przez państwo im zabezpieczonych, zamiast poprzestać na tym, co im ofiarowała gmina.

Wyraźniej jeszcze niż w tym sonecie, przemawia poeta w jednym ustępie „Drugiej obrony ludu angielskiego“, która ukazała się w 1654 r., a więc w rok po objęciu przez Cromwella godności protektora. Z wielką przezornością porozumiewał poeta-publicysta w tym wspaniałym historyczno-retorycznym obrazie charakterystyki i biograficzne szkice, w których obok nędznych słuźalców, pełzających apologistów monarchii, stoją niezależni mężowie, dumni obywatele rzeczypospolitej. Między temi ostatnimi najciekawszym jest szkic, w którym, za przykładem wielkich mistrzów, kręśli Milton siebie samego. Obok tego gołne uwagi są portrety innych republikańskich

znakomości, jak Johna Brandshaws'a, prezydującego w procesie wytoczonym królowi, Tomasza Fairfaxa, Fleetwooda, Overtona i t. d. Ponad wszystkimi góruje jednakże Oliver Cromwell. Klasycznym stylem kręśli Milton młodzieńcze lata purytańskiego wodza, nazywając go największym i najslawniejszym bohaterem, strażnikiem, podporą i oswobodzicielem ojczyzny. Ktoby jednak chciał w tych słowach widzieć poniżające schlebianie publicysty mężowi czynu, dlatego iż powodzenie na jego się stronę przeważało, ten wyrządziłby ciężką krzywdę Miltonowi. Jeżeli bowiem podnosi prawdziwe zasługi potężnego geniuszu, to nie poświęca dlatego bynajmniej swych przekonań; jako rzecznik sprawy „wolnego państwa“ uważa się za równoprawionego wobec protektora. Tym samym pociąganiem pióra, którym jego imię pod niebo wynosi, wzywa wszystkich walnych obywateli Anglii na posłuchanie i śmieć potężnemu zwycięzcy udzielać napomnień i ostrzeżeń.

„Pomyśl o tém, przemawia do protektora, jak wielkim klejnotem jest wolność powierzona twój opiece przez ojczyznę; pomyśl o tém, że ta ojczyzna przelała na ciebie jedynie nadzieję, jaką zwykle pokłada w najznakomitszych obywatelach. Szanuj więc tę nadzieję, szanuj to zaufanie. Uczcij dzielne oblicza i rany wszystkich bohaterów, którzy pod twą wodzą tak mężnie za wolność walczyli; uszanuj cienie tych, którzy polegli w boju; uszanuj sąd obcych ludów, oczekujących tak wiele po naszej dzielnie wywalczonej i utworzonej Rzeczypospolitej.... Uszanuj przedewszystkiemu siebie samego i nie dozwól, by wolność, za którą tyle trosk i niebezpieczeństw przeżyłeś, przez ciebie lub przez drugich została naruszona. Wszak sam nie możesz być wolnym, jeżeli my nie będziemy wolnymi. Jest-to bowiem odwieczne prawo przyrodzone, że ten co innym wolność odbiera, utracić wrzód musi swoje i w niewolnika się obrócić.“ W dalszym ciągu wypowiada Milton wszystkie wymagania, których spełnienia oczekiwano po wielkim mężu. „Przedewszystkiemu chodzi o rozdzielenie zgubnego i nieszczęsnego związku między kościołem a państwem. Niech raz ustanie ten stosunek, przy którym obie władze na pozór wzajemnie sobie przychodzą z pomocą, aby się w rzeczywistości wzajemnie osłabiać. Kościół winien być zostawiony samemu sobie, stać o własnej sile i nie mieć żadnej władzy do wykonywania czynnego przymusu. To jednak, jak przekonały rządy Karola I, jest niemożliwym, póki sługi kościoła są zarazem płatnymi sługami państwa. „Gwałt dopóty nie ustanie, póki wbrew woli poddanych wyciskane będą daniny na żołądź za głoszenie ewangelii, co prowadzi do wykrzywienia prawdy i zatrucia jadłem religii.“

Następnie żąda ulepszenia praw, nie tylko przez wydanie nowych, lecz i przez usunięcie starych. „Usuwać prawa stare, gdy nowe wprowadzasz; nie-brak bowiem ludzi, którym się podoba ta zabawka, podobnie jak lepienie rymów sprawia rozkosz licznym wiérzszokletom. Im więcej praw, tém mniejszą mają one wartość; zamiast stanowić hamulec, stają się siódmami. Pamiętaj przytém, ażeby przepisy, które jako potrzebne utrzy masz lub ustanowisz, nie ciążyły zarówno dobrem, jak i złym. Karz przestępstwa, lecz nie zakazuj tego, co samo w sobie nie zawiera złego, pod pozorem możliwego nadużycia. Prawo winno jedynie hamować zbrodnię; wolność zaś jedna tylko jest matką cnoty.“

Wkońcu domaga się większej troskliwości ze strony państwa o wychowanie młodzieży, bez żadnego stronniczego dążenia i względu na co innego, jak na wiedzę i zdolności. Przy swobodzie nauczania i prasy mogą jedynie wrogie sobie potęgi: prawda i kłamstwo, wystąpić w zapasy; na tej drodze jedynie dojść może społeczeństwo do stanu spokojnej szczęśliwości. „Takie dążenia, taka praca nad szerzeniem światła, tępieniem przesądów wad i zbytku — dodaje Milton — są o wiele pożyteczniejsze, niż pomnażanie dochodów przez wyrafinowane zdrzierstwo, niż powiększanie wojska i floty, niż podchodzenie posłów obcych

mocarstw, niż zawieranie podstępnych traktatów i przymierzy.“

W ten sposób śmiały pierwszy pisarz narodowy angielski przemawiać do pierwszego męża stanu.

Nie posiadamy wprawdzie żadnych osobistych wyrzeczeń protektora o jego sekretarzu, że jednak znał on i cenił wartość Milтона, o tém świadczy całe obchodzenie się jego z tym ostatnim. Gdy Cromwell osiągnął protektorat, poeta, który fakt ten przyjął mileżeniem, dotknięty już został ciężkim cierpieniem. Lewe oko Milтона dawno już utraciło swą władzę, teraz zaś zaczęło gasnąć i światło prawego. Niezmordowanie pracując piórem dla sprawy publicznej, przyniósł on ojczyźnie w ofierze to, czego człowiek najtroskliwiej strzeże, a co dla pisarza podwójnie drogiem być musiało. Gęsta mgła ciemności zaczęła otaczać poetę, nawykłego odzwierciedlać w swoich utworach całą pełnię barw i form świata zewnętrznego. Cromwell nie usunął go pomimo tego kalécstwa ze służby. Milton już poprzednio, jak się zdaje, znalazł pomocnika w pocie Weckherlynie. Przy jego współdziałaniu mógł dalej spożytkowywać swe zdolności na usługi państwa. Z tém wszystkiemu zakres obowiązków Milтона uleżyć musiał ograniczeniu; uwolniono go mianowicie od uciążliwego asystowania przy konferencyach z posłami obcych mocarstw; gdy zaś szło o wygotowanie na rozkaz protektora depeszy lub memoriału, to mógł je swym pomocnikom dyktować. W taki sposób powstały sławne depesze z 1655 r., tak podniosłe obmyślane i ułożone, iż nigdy może żadna państwowa kancelarya nie wypuściła w świat podobnych dokumentów, będących najpiękniejszym wyrazem współdziałania obu mężów, z których jeden mieczem, a drugi piórem sprawował interesy ojczyzny. Depesze te odnoszą się wyłącznie prawie do sprawy Waldensów, która zarówno mężowi stanu, jak i pocie na sercu leżała. Rozniosły one po wszystkich protestanckich okolicach Europy wiadomość o faktach, które wzbudziły okrzyk oburzenia i wstrętu.

(Dokończenie nastąpi.)

Opozycya w Rzymie za cesarów.

(Opozycya możnych.)

Przez Gastona Boissier.

(Dalszy ciąg.)

Trudniój odgadnąć co rozumiano przez zebrania, a raczej „kółka“, *circuli*. Chcąc o tém powziąć wyobrażenie, trzeba sobie przypomnieć zwyczaj ludów starożytnych. W tych pięknych klimatach nie zwykł człowiek zamykać się przez cały dzień w domu; przeciwnie, porzucając mieszkanie, przepędza większą część czasu pod gołym niebem. Mieszkańcy Rzymu, kiedy nie byli w teatrze albo cyrku, przechadzali się pośród tych ciągle zmieniających się widoków, które miasto wieczne przedstawiało ciekawym wszelakiój narodowości. Przebiegali ulice, zatrzymywali się na placach, zmęczeni siadali na ławkach, otaczających place publiczne. Otóż takie grupy ludzi niezajętych, zebranych jedynie w celu przypatrywania się lub rozmawiania, nazywano *circuli*. Zbięrały się one mianowicie na polu Marsówem i na forum, dokoła szarlatanów sprzedających rozmaite leki, sztukmistrzów pokazujących zwierzęta uczone lub rzadkie (Petroniusz n. p. wspomina o uczonych prosiętach), akrobatów i t. p. Często jakiegoś nieszczęśliwego poety, niemogącego znaleźć czytelników, korzystał z tych zebrani przypadkowych i deklamował przed nimi swoje wiérzszki. Czasami znów zbierano się jedynie dla posłuchania pe-ror pewnych indywiduów, odgrywających rolę ludzi mających wysokie stosunki i dobrze poinformowanych. Była ich w Rzymie liczba niemała, a gdy nadeszły chwile jakie ważne, owe chwile niepokoju i oczekiwania, kiedy to każdy z taką niecierpliwością czeka, żeby się dowiedzieć tego o czém dowiedzieć się lęka, nabięrały one niemałego znaczenia. Wysłuchawszy ich, każdy wy-

powiadał swoje zdanie. Orzekano poważnie pochwały lub nagany dla wodzów, kręślono plany kampanij, rozbięrano traktaty pokoju. Ci uliczni politycy, pod koniec Rzeczypospolitej i w pierwszych czasach cesarstwa, zbierali się u stóp trybuny mówców, i dlatego nazywano ich téż *Subrostrami*. Oni-to rozpuszczali wieści złowrogie, które cały Rzym przerażały. Opowiadali na przykład że Partowie zdobyli Armenią, że Germanowie przeszli Ren, a tłum słuchający tych groźnych wiadomości nie oszczędzał zwykle ani cesarza, ani jego ministrów, którzy nie umieli granic bronić skutecznie. To téż cesarze zmuszeni byli czuwać nad tymi zuchwałymi mówcami, posyłając między te grupy żołnierzy przebranych, którzy wodzom swoim donosili co usłyszeli.

Te rozmowy zatem pod gołym niebem, których podsłuchiwali szpiegowie cesarscy, nie były bardzo bezpieczne. Kto nie chciał się narażać, unikał wtrącania się do nich choćby słówkiem. Tacy ludzie odzywali się tylko w towarzystwie, które uważali za pewne. Zresztą nie brakło im sposobności do mówienia. Rzymianie lubili liczne zgromadzenia, na których zbierali się ludzie rozmaitego pochodzenia i majątku, jedynie w celu zeknięcia towarzyskiego, i do których przypuszczane były i kobiety. W ogólności kobiety w Rzymie nie były wyłączone z towarzystwa męskiego; bywały one na ucztach, nawet takich, na których nie tylko sami członkowie rodziny się znajdowali, a Korneliusz Nepos powiada, że nie było dziwnego widzieć Rzymianina prowadzącego ze sobą żonę, kiedy szedł na obiad do kogoś, co u Greków byłoby uważanem za rzecz wielce nieprzyzwoitą. Tak więc już i obiady były zebraniem towarzyskiemi, a z pewnością było ich i więcej, chociaż pamięć o nich nie doszła do nas w wyraźniejszych zarysach. Zdaje się nawet, że począwszy od wieku pierwszego, zwyczaj stykania się obu płci ze sobą wyrobił pewien rodzaj galanterii, obcej zupełnie społeczeństwu starożytnym, a przypominającej nieco galanterią wieku XVII-o.

Oto wizerunek eleganta owoczesnego, skręślony przez Marcyalisa: „Elegant, jest-to mężczyzna, którego włosy rozpolowione są starannie wyczesanym przedziałem, którego czuć zawsze perfumami, który nuci pod nosem piosenki egipskie i hiszpańskie i umie w takt poruszać rękoma gładko ż włosów oczyszczonemi, który cały dzień nie odstępkuje od krzesel dam i który zawsze ma im coś do opowiadania na ucho, który zna wszystkie plotki Rzymu, a całą genealogią konia Hirpinusa wyrecytuje ci z pamięci.“ Zaprawdę, elegant ten niebardzo różni się od molierowskich markizów i zupełnie tak jak oni „po całych dniach krzesel dam nie odstępkuje.“ Taka grzeczność dla kobiet nieraz nawet daleko mogła zaprowadzić mężczyznę. Tacyt opowiada nam o pewnym konsulu, człowieku bardzo rozumnym i złośliwym obdarzonym dowcipem, który karierę swoją polityczną protekcyi kobiecej zawdzięczał.

Kiedy mężczyźni zbiorą się sami, rozprawiają i dyskutują; w obecności kobiet trzeba rozmawiać. Seneka przepysznie opisał te rozmowy towarzyskie, dotykające wszystkiego, a nie wyczerpujące i łatwo bardzo przechodzące od jednego przedmiotu do drugiego. Mówiono zapewne dużo o innych i o sobie samych. Zwyczaj życia towarzyskiego daje popęd do studyowania się wzajemnego, do poznania gruntownego namiętności i charakterów. W tém mieście ogromnym, które mogło w sobie pomieścić świat cały, jak powiada Lukan, w którym codziennie staczano tyle walk zaciętych o władzę i dostatki, przedmiotów do studyów nie zabrakło tym moralistom towarzyskim. Zbierali oni ciekawe anegdotki o ludziach znanych i opowiadali je wieczorem przyjaciółom swoim. Musiano również rozmawiać dużo o literaturze, bo cały ten wielki świat rzymski lubił ją i uprawiał; mówcą był mniej więcej każdy z profesyi, a poetą dla przyjemności. Kwitnęła wówczas poezya salonowa, z której nic jednak do nas nie doszło i która nie zasługiwała téż na dojscie do potomności, ale która nadawała się wsamraz do gustu owych eleganckich towarzystw. Jak za

czasów Delisle'a, opiewano grę w kości i w warcaby, rybołówstwo i sztukę pływania, taniec i muzykę, umiejętność należytego urządzania uczt i przyzwoitego przyjmowania biesiadników. Mimo całej przyjemności jaką sprawiała czytanie tych poematów, po pewnym czasie musiało się ono uprzykrzyć i trzeba było wynajdywać nowe przedmioty do rozmowy, dla ożywienia pogadanki. Tak więc, wyczerpawszy literaturę i obmowę, przechodzono z kolei rzeczy do polityki.

Naturalna rzecz, iż polityka ta musiała być nieco drwiąca; ci ludzie rozumni, którym przedewszystkiem chodziło o to, żeby nie wyglądać na głupców, łatwych do oszukania, nie mogli brać na seryo wszystkich komedij odgrywanych w senacie. Ci milezący a złośliwi widzowie, bynajmniej nie skłonni do uniesień, musieli uśmiechać się na widok tych pochlebstw bez granic, któremi obsypywano monarchę, i niebardzo wierzyli w apoteozy cesarzów, czy to za ich życia, czy po śmierci urządzane. Życie w świecie rozwija skłonność do ironii; umieć zgrabnie wyszydzić sąsiada, jest tam przymiotem wysoko cenionym, a przypuszczając można, że ceniono go jeszcze więcej, gdy tym sąsiadem był cesarz. Była to zapewne niebezpieczna igraszka; szyderstwa tak wysoko sięgające mogły drogo kosztować, ale niebezpieczeństwo niezawsze skłonić zdoła człowieka do zaniechania żartu, jeżeli go uważa za dowcipny i spodziewa się zań oklasku. „Nie mogę litować się—mawiał Seneka—nad tymi ludźmi, którzy wolą stracić głowę, aniżeli słówko dowcipu.“ W owym świecie lekkim, eleganckim nie lubiono powstrzymywać dowcipnych słówek, nawet pod groźbą utraty głowy. Należało przecie powetować sobie przymus, którego się doznawało w senacie, gdzie trzeba było robić piękne oczy do przyjaciół panującego i przyklaskiwać pochwałom, któremi go obsypywali. Wychodziło się ztamtąd zawsze niezadowolonym z siebie i z drugich, z sercem pełnym gniewu, któremu trzeba było ulżyć koniecznie. To też rozmawiano swobodnie, znalazłszy się w gronie kilku przyjaciół, na których wierność liczone. W takich poufnych rozmowach lubiono właśnie nadewszystko udzielać sobie takich nowin „których nie można było ani mówić, ani słuchać bez niebezpieczeństwa.“ Rzym ówczesny pełen był nowiniarzy, których rzemiosło wykonywają dziś dzienniki i telegrafy. Widzieliśmy ich na zgromadzeniach ulicznych, a bywało jeszcze więcej na zebraniach światowych. Wiedzieli oni wszystko, co się mówiło w armiach, co myślały prowincye; byli jaknajdokładniej powiadomieni o wszystkiem, cokolwiek się działo. Gdy ktoś ze znaczniejszych osób umarł, oni opowiadali najdrobniejsze szczegóły jego śmierci, mówili bez zająknięcia kto trzymał sztylet, kto nalęwał truciznę. Władza, chcąc pochwytać tych co złe wieści rozsięwali, nadawała plotkom jeszcze więcej wiarygodności. Zresztą taka już jest ludzka natura, że niedowierzamy temu co się mówi otwarcie, a przyjmujemy bez wahania za prawdę to, co się szepce do ucha. Tak więc wszystkie środki, przedsiębrane przez władzę, przeciw niej się obrały. Wiedzano wszystko, wierzono wszystkiemu, chciano wynaléć przyczyny wszystkiego, a najnaturalniejsze niezawsze były najlepiej przyjmowane; chcąc znaleźć chętnych słuchaczy, trzeba było dla każdego wypadku wymyśleć jakieś dziwne i wyszukane tłumaczenie.

Opozycya ta przybierała formy bardzo rozmaite i naginała się do okoliczności. Bywało, że miała odwagę objawić się w pamflecie, na przykład w jednym z owych testamentów satyrycznych, które lubiono układać na rachunek osób ważne zajmujących stanowiska, a w których ów niby nieboszczyk wypowiadał bez ogródki wszystko, co myślał o żyjących. To znów puszczała w obieg jakiś wiész złośliwy, który sobie powtarzano do ucha, a który obiegłszy wszystkie sfery tego niezadowolonego społeczeństwa, znajdował się dnia pewnego niewiadomą ręką wypisany na murach forum. „Tyberyusz,—mówiono sobie,—gardzi winem, od czasu jak mu się krwi zachęcało; dzisiaj pija krew, tak jak dawniej pijał wino.“ (Sweton. „Tiber.“ 59). Jeżeli śmiałość podobna zanadto

przedstawiała niebezpieczeństwa, schodzono do aluzyj złośliwych, z łatwością zrozumiałych dla umysłów rozbudzonych w tym kierunku. Gdy nawet i aluzye takie przesładowano i karano, porzeczawano na wymianie kilku słów ukradkowych przy spotkaniu. Gdy wreszcie całkiem już mówić było niepodobna, doskonalono sztukę milczenia wymownego. Taką była opozycya za cesarstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Instynkt i inteligencya zwierząt, przez M. N. Joly.

(Dalszy ciąg).

Tak wyłożyłszy swój system dziwaczny, Buffon dodaje słowa następujące:

„Jeżeli tłumaczenie moje jest jasne, to z powyższego widoczny wypływa wniosek, że nie tylko nie odmawiam zwierzętom wszystkiego, lecz przeciwnie, wszystko im przyznaję, z wyjątkiem myślenia i zastanawiania się; mają one uczucie, mają i świadomość poprzedniego bytu, odbierają wrażenia, ale nie posiadają zdolności porównywania ich z sobą, to jest nie mają siły tworzącej myśli, ponieważ myśli są to wrażenia porównywane ze sobą, albo raczej są skojarzeniem wrażeń.“

Przypuśćmy na chwilę, że zwierzęta nie są obdarzone ani myślą, ani zastanowieniem. Bo i na cóż zresztą jedno i drugie przydałoby się istotom, „których wszelkie czynności, najbardziej zpozoru zawikłane, wyjaśnić się dają zapomocą wstrząśnień mechanicznych wewnętrznego zmysłu materialnego?“

Na co zdadza się myśli, jeśli machina zwierzęca jest nakręcaną jak rozeń kunsztowny, który sam pieczeń obraca? A przytém jestże to istotna prawda, że myśli są tylko wrażeniami porównywanymi, a nie przedstawieniem umysłowi przedmiotu, który wrażenie wywołał? Myśl jest to wrażenie samo, przekształcone i pojęte zapomocą, że się tak wyrażę, pracy duchowo-mózgowej.

Buffon, w tomie drugim dzieł swoich, powiada: „Materia bezduszna nie jest zdolną do uczuć i wrażeń, nie ma świadomości istnienia; przyznawaj jej jeden, jakikolwiek z tych przymiotów, znaczy przyznawać jej władzę uczucia, działania i myślenia w tym prawie porządku i sposobie, jak my czujemy, działamy i myślimy.“

Buffon jednakże, jak widzieliśmy powyżej, przyznaje zwierzętom te przymioty; słusznie zatem czyni uwagę ksiądz Condillac, że w logicznym następstwie powinien był przyznać im i dar myślenia.

Buffon zgadza się na to, że zwierzęta wyższego rzędu (którymi prawie wyłącznie się zatrudnia) mają świadomość bytu, nie tylko w chwili obecnej, ale i poprzedniego. Ale czyż można mieć tę świadomość, nie mając o niej wyobrażenia, pojęcia?

Niedość na tém: Buffon odmawia zwierzętom pamięci, która, jak mówi „jest tropem naszych myśli,“ ale przyznaje im mimowolne przypomnienie sobie czegoś, „które jest tylko odnowieniem wrażeń, a właściwie odnowieniem wstrząśnień, te wrażenia wywołujących.“

W innym miejscu Buffon mówi: „Zwierzęta nie mają żadnej wiedzy o przeszłości, żadnego pojęcia o czasie, a zatem nie mają pamięci.“

Lecz mówiąc to, Buffon widocznie zapomina, że poprzednio już postawił zasadę, iż zwierzęta mają świadomość bytu poprzedniego, a zatem mają pojęcie przeszłości.

Gdzieindziej znowu jest sam z sobą w sprzeczności, powiada bowiem: „Zwierzęta mają świadomość bytu teraźniejszego, ale nie posiadają jej wcale co do bytu poprzedniego.“

Od Buffona przeto odwołajmy się do Buffona, i powiedzmy z nim razem:

„Świadomość bytu, uczucie wewnętrzne stanowiące ja jednostki, składa się u nas z wrażenia bytu obecnego i z pamięci bytu przeszłego.“

Toż samo dzieje się u zwierząt: i one zatem mieć muszą swoje ja, pierwiastek rozumowy, czyli, jednem słowem, duszę, jak nasza niematerialna, lecz zapewne do innych przeznaczeń powołaną.

Niech nikt nie sądzi, że idzie nam tutaj o grę wyrazów, o bezcelową logomachię. Badanie faktów pospolitych, codziennych, stwierdza istnienie u zwierząt tego pierwiastku niematerialnego, tej duszy.

Jeden ze współczesnych nam filozofów, pan Lévêque, zbija, zapomocą argumentów prostych, a nieczem nieprzepatych, poglądy Descartes'a, Malebrauche'a i Buffona.

„Pies, zagrożony karą—mówi Lévêque—tuli uszy, chowa ogon pod siebie, kryje się pod stół i błagalnie spogląda na swego pana. Widział batóg i pojął co go czeka: jest to zjawisko świadomości. Doznał obawy: jest to zjawisko wrażliwości. Ukrył się pod stołem: zjawisko ruchliwości. Czy istota tych trzech zjawisk może być potrójną? Nie; ponieważ ten szereg zjawisk, niedających się od siebie oddzielić, wymaga, aby źródło z którego wypłynęły było siłą jedną, niezłożoną, a tém samem niematerialną.“

Dziwna rzecz, i Buffon był o tém w głębi duszy przekonany. Dotychczas mówiliśmy o nim jako o filozofie systematycznym i paradoksalnym; posłuchajmy teraz sumiennego badacza, wiernego tłumacza praw przyrody.

„Pies, niezależnie od piękności kształtów, od żywości, siły i rączności, posiada w najwyższym stopniu przymioty wewnętrzne, zdolne zwrócić na niego uwagę człowieka. W stanie dzikim pies jest groźny dla wszystkich zwierząt, gdyż posiada u sposobienie namiętne, nawet drapieżne i krwiożercze; w psie domowym cechy te ustępują miejsca łagodności, przywiązaniu i chęci przypodobania się. Pies człoga się u stóp swego pana, składając mu haracz ze swój odwagi i siły, których na jego rozkaz używa; radzi go się, pyta, błaga, z jednego spojrzenia zgaduje jego wolę. Nie posiadając, jak człowiek, myśli, ma zato spotęgowane uczucie, a w wyższym stopniu niż człowiek posiada przymiot wierności i stałości w uczuciach. Niema w nim próżności, interesu, chęci zemsty; jedyną jego obawę stanowi to, aby nie ściągnął na siebie niełaski swojego pana: jest słowem uobobieniem dobroci, gorliwości i posłuszeństwa. Bardziej pamiętny na dobrodziejstwa, aniżeli na kary, liże dłoń, która mu chłostę wymierzyła i rozbraja ją w końcu poddaniem się i cierpliwością.“

Obraz to wierny, ale zarazem pełen sprzeczności co do zasad wyrażonych poprzednio o przyrodzie zwierząt wogóle, a psów po szczególe. Czy wstrząśnienia czysto mechaniczne mogą zrodzić uczucie, stałość, wierność, a zwłaszcza wdzięczność?

Zostawmy więc na boku sprzeczność Buffona i postarajmy się dowieść, wbrew twierdzeniom jego i Descartes'a, że zwierzęta nie są maszynami, lecz istotami posiadającymi instynkt i w pewnym stopniu inteligencyą. Zanim atoli przejdziemy do określenia tych dwóch wyrazów, zastanówmy się jeszcze nad jedną rzeczą.

U zwierząt wyższego rzędu widziemy organa bardzo do naszych podobne: serce, płuca, wątrobę, i t. d. Nikomu nawet nie przejdzie przez myśl zaprzeczyć tego podobieństwa i nikt nie dziwi się również, dowiedziawszy się, że te organa odbywają takie same funkcje, jak u ludzi. Przeciwnie, uważamy to za rzecz tak dalece naturalną, że człowiek mało nawet wykształcony i tylko o anatomii człowieka powierzchowne mający pojęcie, wstrząsnąłby z niedowierzaniem głową, gdyby mu powiedziano na przykład, że u ptaków serce służy do oddychania, płuca do trawienia, a wątroba do krążenia krwi. Uznanie analogii w funkcjach tych samych organów u zwierząt i człowieka jest, że tak powiemy, wrodzonym naszęj naturze, obdarzonej zawsze większą lub mniejszą dozą logiki.

(Dalszy ciąg nastąpi.).